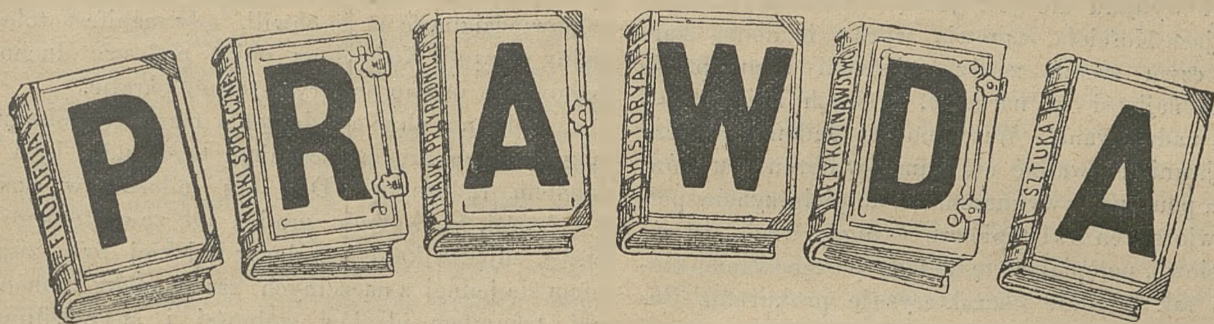
Nr. 15 (1473) Warszawa, 9 Kwietnia 1909 r. **Rok XXIX.**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Watykan i Polskość.

Byłżeś w Arkadji tej, gdzie Jezuici
Są barankami? pasą się i strzegą
Psów — i tem żyją, co ząb ich uchwyci
Na pięcie wieszcza? Kraina niczego!
Pełna wężowych ślin, pajęczych nici
I krwi zepsutej... Niebieska kraina!
Co za pieniądze bab—truć nas zaczyna.

J. Słowacki.

Dziennik Powszechny, który w numerze z dn. 4-ego kwietnia dwa artykuły poświęcił pamięci Słowackiego, a artykuł wstępny piętnowaniu postępowców za wystąpienie Świętochowskiego — niebacznie zastosował słowa poety („pełne wężowych ślin") do ostatniego „Liberum veto". Zasłużył on w pełni na to, by mu powtórzyć w całości cytowany przez niego fragment z Beniowskiego.

Zdaje się, jakoby zmarły wieszcz w ostatnim wierszu charakteryzował właśnie ten stan rzeczy, nad którym z tak tryumfującą radością unosi się *Dziennik Powszechny* zaznaczając, że niebywała konsternacja obozu postępowego wynika ze szeregowania się coraz liczniejszych zastępów inteligiencji pod sztandarem polsko-katolickim. Dla postępu polskiego mijają piękne dni Aranjuezu, woła, nastają czasy reakcji „czarnosecinnej", „klerykalno-wstecznej" i te niepokoją i trworzą obóz postępowy.

Wtedy, gdy poeta te słowa przelewał na papier, również podobne *Dzienniki powszechne* skupiały pod polsko-katolickim sztandarem szeregi pseudo-inteligencji, wskazując im jako cel szlachetnych pocisków takich wrogów narodu, takich „bezbożnych" i „niepolskich" pisarzy, jak obłudnie przez nich dziś opłakiwany Juljusz Słowacki. I wtedy, jak teraz, najlepszych synów ojczyzny przez nich od narodowej łączności odsądzanych, obrzydzeniem przejmowała obłuda, a trwoga o przyszłość kraju kładła im w usta takie przestrogi:

„twa zguba w Rzymie!
Tam są legjony zjadliwe robactwa:
Czy będziesz czekać aż twój łańcuch zjedzą?
Czy ty rozwiniesz twoje mściwe bractwa,
Czekając na tych, co pod tronem siedzą?
I krwią handlują i duszą biedactwa,
I sami tylko o swym kłamstwie wiedzą;
I swym bezkrwawym wyszydzają palcem
Człeka, co nie jest trupem lub padalcem?
Lecz pokój z nimi, nie! ten brud ruchomy
Nie zna pokoju — więc życzenie próżne!
Niechaj więc włażą w zakrwawione domy,
Niech plwają na miecz, stworzenia ostrożne,
Aby zardzewiał, nim będzie łakomy
Ich zgiętych karków — niech mają usłużne
W jadzie maczane pióra — dusze w bagnie —
Niech żyją — takiej krwi nikt nie zapragnie.

A gdyby dzisiaj patrzał na ich tryumfy, powtórzyłby jeszcze:

„Ten polip odrósł i lud wyssał blady,
Wygnać go kiedyś była wielka praca —
Ma nas za trupa ten szakal i wraca".

„Powrót szakala", to jest powrót reakcji klerykalnej, powtarza się stale w każdej dobie duchowego upadku narodu, po klęskach, po rozczarowaniach, po utracie krwi. Chwile jego panowania są chwilami ogólnego bezwładu,ale dziś ani bezwład nie jest tak zupełny, by nas można mieć za trupa, ani panowanie klerykalizmu nie jest bezsporne.

Mimo krzykliwego zgiełku, mimo grubych środków sugiestji, jakimi się posługuje, mimo niespodzianej odsieczy ze strony obłudnych oportunistów barwy pseudo-postępowej,coraz szerzej i coraz głębiej przenika do umysłów przekonanie, że łączenie polskości z klerykalizmem jest wprost kuglarstwem politycznym, któ-

re zawsze i wszędzie gotowało narodowi klęski i upokorzenia.

Sprawa Chełmszczyzny nietylko bynajmniej nie stanowi wyjątku ale jest jedną z tych spraw, które w dziejach Kościoła stanowią wprost haniebną kartę, o czym zresztą zewsze wiedzieli i przypominali ci najlepsi w narodzie, których imiona dziś tak są nadużywane. Wiadomo, że żaden z papieży nigdy jawnie i otwarcie nie stanął w obronie unitów, że poza poufnymi wynurzeniami do pielgrzymów polskich, wiozących Świętopietrze — nigdy z ich ust nie padło słowo, potępiające tę metodę postępowania, którą dziś tak dosadnie charakteryzuje prokurator Pomierancew w swych notatkach. [1]) Wszyscy papieże w tych kwestjach byli zawsze „źle poinformowani", natomiast nie brakło im nigdy dokładnych i wyczerpujących informacji tam, gdzie chodziło o dobra kościelne, przywileje dygnitarzy i stanowisko polityczne Stolicy Apostolskiej.

Wiara unickiego ludu była krwawą ceną, za którą nabyto ustępstwa dyplomatycznej natury. To nie była pomyłka jednego lub drugiego z nieomylnych papieży, lecz stała metoda postępowania, której trzymali się kolejno i Grzegorz XVI-ty i Pius IX-ty i Leon XIII-ty, za co ten ostatni otrzymał cały szereg pochwał we wspomnieniu pośmiertnym, drukowanym w *Nowym Wremieni*. Podczas gdy Głowa Kościoła publicznie i jawnie zrezygnowała z katolickiej wierności unitów i zaniechała wszelkich przysługujących jej środków obrony — chłopi poświęcali wszystko dla wiary, którą Stolica Apostolska poświęciła dla doczesnych korzyści. Naturalnie żaden biskup ani dygnitarz męczeństwa ludu nie podzielał. Nie darmo mówił Mickiewicz o kardynałach. „Noszą oni purpurę, symbol krwi męczenników, a czy widział kto kiedy kardynała umęczonego?"

Tak więc lud utrzymał się przy wierze ojców na własny koszt, na własne ryzyko i na własną bolesną odpowiedzialność aż do chwili, gdy manifest tolerancyjny pozwolił Kościołowi objąć pod swe duchowne panowanie dawno przefrymarczone parafje.

I dla nas chwila ogłoszenia manifestu tolerancyjnego, kładąca kres udręczeniom tego ludu, była momentem radosnym. Dla nas miłośników postępu i wolności, wyzwolenie sumień od zewnętrznego nacisku, zdjęcie kajdan z duszy ludzkiej było ziszczeniem się jednej z naczelnych zasad etyki humanitarnej, tryumfem ideałów wolności i sprawiedliwości. Dla Kościoła manifest tolerancyjny miał znaczenie inne — był sposobnością do rozszerzenia jego władzy, podniesienia jego splendoru.

Interesy Kościoła utożsamiać z interesem narodu, to przeczyć wszystkim dawnym i świeżym, dobrze pamiętnym faktom Katolicyzm i polskość to jedno? A skądże to jeśli nie z obozu katolickiego zawsze padają pociski na wszelką robotę do odrodzenia naszej kultury, do spotęgowania żywotności narodu zmierzającą? Kto wszczął nagankę na Macierz, na instytucje oświatowe, na szkoły polskie? Kto pierwszy w tejże samej dziś gorąco do serca tulonej gubernji wprowadzić próbował katechizm rosyjski, aż polskość uczni przeciw katolicyzmowi ks. prefekta kaloszami walczyć próbowała? A czy ks. Górniak był wyjątkiem? Czy gorliwość księży wprowadzających na własną rękę wykład religji w obcym języku, lub układających katechizmy rosyjskie aprobatą kościelną opatrzone, nie wyprzedzała nieraz marzeń najzaciętszych rusyfikatorów? Za wybryki jednostek Kościół nie odpowiada. Słusznie; ale czy wobec tego wolno mu się powoływać na zasługi wyjątkowych jednostek, księży patryjotów, całą duszą ludowi oddanych i spełniających swą misję wśród niezwalczonych niekiedy przeszkód, sta-

[1]) Patrz. Nr 12 „Prawdy": Nieco z przeszłości Chełmszczyzny.

---

13)

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI.

DUCHY.

VI. BURZA.

Widok 2.

Weszła lękliwie kobieta odziana ubogo.

Kobieta Łaskawi panowie, czy tu dają pozwolenie widzenia się z mężem?

Urzędnik 3 Żona może widywać się z mężem i bez pozwolenia.

Kobieta To proszę mi powiedzieć, gdzie jest mój.

Urzędnik 3 Niech pani go sobie sama poszuka.

Kobieta Kiedy nie wiem, gdzie go wsadzili.

Urzędnik 3 Aresztowany?

Kobieta Wczoraj.

Urzędnik 3 Czemuż pani tego nie mówi. Jak się nazywa?

Kobieta Talek.

Urzędnik 3 *(przejrzawszy spis)* Tu go niema.

Kobieta To gdzież on jest? Obeszłam już wszystkie więzienia.

Urzędnik 3 Musiała mu pani bardzo dokuczać, więc chce odpocząć i poprosił, ażeby nie zdradzano jego ukrycia.

Kobieta Nie żartowałbyś pan, gdybyś miał, jak ja, troje chorych i głodnych dzieci.

Urzędnik 3 Ojciec trojga chorych i głodnych dzieci nie powinien wdawać się z nicponiami, którzy go wciągnęli do kozy.

Kobieta Więc on tu jest?

Urzędnik 3 Niema go — powtarzam i proszę odejść.

Kobieta *(wychodząc)* Boże, Boże, czemużeś djabłu oddał sprawiedliwość!

Urzędnik 2 Czy rzeczywiście męża jej tu niema?

Urzędnik 3 Jest, ale po cóż babie będę zaraz meldował? Widzieć się z nim nie może — jeszcze nie badany. Niech się przyzwyczaja do cierpliwości...

Wszedł z gabinetu naczelnika Urzędnik 1.

Urzędnik 1 Szczególna awantura! Naczelnik kontro-

wianych im ze strony władzy kościelnej? Ileż pięknych istnień łamało się w tej walce, usiłując ratować złudzenie, że można służyć naraz dwom panom: i krajowi ojczystemu i potędze Watykanu!

Kościół nie odpowiada za postępki jednostek, ale odpowiada za postępowanie swych kierowników. By się przekonać, jaki był stosunek papieży do sprawy polskiej, dość zajrzeć do historji, dość przeczytać kolejno encykliki papieskie. Pamiętna jest nam wszystkim wydana przed czterdziestu laty encyklika Piusa X-go do Polaków, encyklika, której proboszcze nie mieli odwagi odczytać parafjanom, aż biskupi postarali się podsunąć papieżowi sprostowania, któreby złagodziły jej fatalny efekt. Mniej są znane dzieje encykliki Leona XIII-go do biskupów polskich, wydanej w r. 1894. Gdy wieść o niej doszła do Warszawy, w kołach narodowo - demokratycznych, uznających w katolicyzmie instytucję narodową, powstała myśl rozpowszechniania jej wszelkimi drogami, łudzono się bowiem, że „Ojciec Święty" zasilił wierny naród czymś, co ducha jego pokrzepi. Zwrócono się z tym do braci z za kordonu, ale ci znali encyklikę i rozwiali złudzenia. Nawet w klerykalnym Poznaniu wzbudziła ona niesmak, gdyż była w całości swej jedynie rozwinięciem tezy apostołowanej przez arcybiskupa Stablewskiego i ks. Kardynała Koppa, że „wszelka władza pochodzi od Boga" (naturalnie z wyjątkiem władzy króla włoskiego i republiki francuskiej.)

Nigdzie hasło utożsamienia polskości z katolicyzmem nie było przyjęte tak jednomyślnie i tylu szkód nie zrządziło, co pod pruskim panowaniem, gdzie z chwilą powołania masy ludu polskiego do życia politycznego — siła jego została całkowicie zeskamotowaną przez kler w czasie Kulturkampfu i na długie lata zaprzężoną w służbę obskurantyzmu. Popularnymi hasłami patryjotycznymi posługiwano się w obronie przywilejów kleru, w walce przeciw szkołom symultannym (czyli międzywyznaniowym), przeciw wyższemu kształceniu księży, przeciw ślubom cywilnym i t. p., zupełnie tak samo jak Prusacy posługiwali się melodjami polskimi dla zagrzewania Bartków Zwycięzców do zabijania Francuzów. Uratowano też wyznaniowy charakter szkolnictwa, ale pozwolono w nim wytępić aż do ostatnich śladów polszczyznę. Nawet obronę polskiego wykładu religji pozostawiono dzieciom polskim, które narażały skórę na razy tam, gdzie wyższe duchowieństwo z ks. Stablewskim na czele ani swych stanowisk ani stosunków z rządem pruskim narazić nie chciało. Wszystkie instytucje kościelne—te, co miały być ostoją polskości—stopniowo nasiąkały niemczyzną. Niemieckie śpiewy kościelne, niemieckie kazania, niemieckie Jasełka cieszyły się protekcją biskupów; zniemczono seminarjum duchowne w Poznaniu a natomiast polecono księżom wystąpić ze Straży. A rola duchowieństwa na Górnym Szlązku, a prześladowanie polskich redaktorów i polskich działaczy, którym odmawiano ślubu kościelnego, gdy pod komendę centrum swych wyborców oddać nie chcieli?

A czy wiemy, jak katolicyzm czuwa nad polskością w Stanach Zjednoczonych, gdzie lud polski daremnie domagał się biskupów Polaków, aż jeden z wyższych duchownych ze „starego kraju", dobrze wtajemniczony w sprawy Watykanu, w liście otwartym dał mu taką radę: „odmówić księżom dziesięcin a Rzymowi zagrozić schizmą, oto jedyny argument, z którym Watykan liczyć się będzie".

W tymże samym liście „księdza ze starego kraju" drukowanym w zakordonowych pismach, znajdowały się wyjaśnienia, które należałoby jaknajgłębiej wyryć w mózgach wszystkich skłonnych do złudzeń Polaków. Sprawa polska — jego zdaniem — jak wszystkie wogóle sprawy narodowościowe, jest z natury rzeczy dla kosmopolitycznego „Kościoła powszechnego" rzeczą obcą i całkowicie obojętną; patrzy on na nią jako na niepotrzebnie stawianą mu

---

łując korytarz zauważył, że nie ma w nim ani dozorców, ani żołnierzy. Zdumiony zaczął ich szukać i spostrzegł wszystkich w otwartej na oścież celi, w której Pera coś im wykładała. Gdy na nich krzyknął, odpowiedzieli mu, że broni do rąk nie wezmą.

Urzędnik 2 To niespodzianka! Cóż zrobił?

Urzędnik 1 Naturalnie oddał ich pod sąd a tę panią kazał umieścić w wieży, dokąd będzie miał wstęp tylko jeden stary głuchy żołnierz. Bo okazało się, że ona wywiera jakiś szczególny wpływ na prostych ludzi i że odurzyła całą straż. Gdyby nie to odkrycie, pewnego dnia wszyscy przestępcy wyszliby z więzienia wraz z dozorcami. Byłby to piękny widok!

Urzędnik 2 Rzeczywiście piękny.

Urzędnik 1 A teraz przypnij pan kokardę i włóż białe rękawiczki, bo będziesz drużbą na weselu.

Urzędnik 2 Jakim?

Urzędnik 1 Jeden z aresztowanych, Ider, umiera. Otóż pozwolono mu wziąć ślub z kochanką, która znajduje się w błogosławionym stanie. Ceremonja odbędzie się za chwilę tutaj.

Widok 3.

Wsunął się starzec, którego siwe włosy stanowiły oczywistą sprzeczność z młodą twarzą. Zapukał wprost do gabinetu naczelnika i usłyszawszy wezwanie, zniknął za drzwiami.

Urzędnik 3 Spieszy się — widocznie przyniósł coś ważnego.

Urzędnik 2 Jak on się właściwie nazywa?

Urzędnik 1 *(zniżywszy głos)* Nie należy pytać.

Urzędnik 2 Może z niego dobry szpieg, ale lichy aktor. Za starą wkłada perukę.

Widok 4.

Śmiało weszła młoda dziewczyna, ubrana skromnie.

Dziewczyna Czy tu ma się odbyć mój ślub z więźniem Iderem?

Urzędnik 3 Panna się nazywa Ledina Bor?

Dziewczyna Tak.

Urzędnik 3 Proszę zaczekać?

Dziewczyna Długo?

Urzędnik 3 Nie wiadomo, w każdym razie przedtym panienka jeszcze nie urodzi.

przeszkodę do osiągania celów swej polityki. Naród sam musi swych interesów bronić niezależnie od Rzymu, a nawet przeciw Rzymowi.

Naszym wrogiem są tylko nasze własne złudzenia i jedynie tylko prawda uleczyć nas może. Prawdą zaś jest, że niema żadnego związku między miłością ojczyzny a wiarą lub niewiarą człowieka, że wśród najlepszych synów Polski i najwięcej zasłużonych dla kraju, mamy i mieliśmy ludzi wszelkich przekonań religijnych i niereligijnych, katolickich i antykatolickich. Prawdą jest również, że podporządkowywanie społecznych i politycznych dążeń narodu cudzoziemskiej potędze politycznej, jaką jest Watykan — jest takim samym, świadomym czy nieświadomym, odstępstwem od narodowego sztandaru, jak poświęcenie sprawy ojczystej na rzecz jakiejkolwiek świeckiej a obcej potęgi.

M.

Ze statystyki narodowościowej Austrji (Przedlitawji).

Austrja (Przedlitawja) w roku 1904 liczyła 27 miljonów ludności; wobec ogólnej powierzchni 300 tysięcy kilometrów kwadratowych, na 1 kilometr przypadało 87 mieszkańców.

Z pośród krajów austryjackich, Galicja zarówno pod względem powierzchni, jak i pod względem liczby ludności, zajmuje w Austrji *pierwsze* miejsce, stanowiąc znacznie więcej niżeli $^{1}/_{4}$ część całości pod obu względami. Ze Śląskiem zaś i z Bukowiną posiada Galicja niewiele mniej niż 3-cią część ludności i zajmuje nie wiele mniej niż 3-cią część powierzchni. *Drugie* miejsce w państwie pod względem powierzchni i ludności zajmują Czechy. Ludność Czech i Galicji stanowi przeszło 53% ludności państwa, razem zaś z Morawami, Śląskiem i Bukowiną stanowi 66,84%, t. j. przeszło $^{2}/_{3}$ ludności Austrji. Na pozostałe przeto 9 krajów, wchodzących w skład zachodniej części państwa, przypada mniej, niż $^{1}/_{3}$ część ludności Austrji.

Co się zaś tyczy powierzchni owych 5-ciu krajów północnych, to stanowi ona tylko 55,9% całej powierzchni, na południowy przeto Zachód wypada niewiele mniej, niż połowa powierzchni ogólnej. Należą tu bowiem gęsto zaludnione Śląsk, Czechy i Morawy, wreszcie gęściej od przeciętnej dla państwa zaludniona Galicja, i tylko w jednej Bukowinie gęstość zaludnienia jest niższa od gęstości przeciętnej.

Stosunek wzajemny ludności pod względem narodowościowym w poszczególnych krajach przedstawia poniższa tablica:

	Niemcy	Słowieńcy	Serbo Chorwaci	Czesi Morawianie	Polacy	Ukraińcy	Włosi	Rumuni	Węgrzy
1. Salzburg	99,52								
2. Austrja górna	99,39								
3. „ dolna	95,00			5,					
4. Kraina	5,59	94,24							
5. Dalmacja	0,4		96,65				2,61		
6. Karyntja	74,9	25,1							
7. Morawy	28,			71,					
8. Sztyrja	68,7	31,18							
9. Czechy	37,			63,					
10. Tyrol	60,						39,37		
11. Galicja	3,46				54,66	42,29			
12. Istrja, Gorycja, Tryjest	3,	29,9	20,16				46,91		
13. Śląsk	45,			22,	33,21				
14. Bukowina	22,				3,71	41,17		31,64	1,31

Usiadła na uboczu. Przybył Proboszcz. Zdjął płaszcz i w komży zbliżył się do urzędnika.

Proboszcz Jestem wezwany...

Urzędnik 1 Zaraz.

Odsunął firankę z siatki drucianej i zawołał do stojącego poza nią dozorcy.

Numer 14 do ślubu.

Otworzono w głębi drzwi od korytarza więziennego: dwaj żołnierze wnieśli na noszach chorego i postawili je tuż przy siatce. Ider leżał blady, wycieńczony, z głową obandażowaną, oddychał ciężko. Gdy dziewczyna stanęła przy siatce, uśmiechnął się do niej dobrotliwie.

Dziewczyna Co ci jest?

Ider Byłem niegrzeczny — zbili...

Urzędnik 1 Żadnych wyznań. Proszę księdza połączyć ich.

Proboszcz spojrzał w twarz dziewczyny i drgnął zdziwiony. Uspokoił się jednak szybko i rzekł do naczelnika.

Proboszcz Obrzęd wymaga, ażeby nowożeńcy, przysięgając, połączyli swoje ręce a przez siatkę uczynić tego nie mogą.

Urzędnik 1 Tak być musi.

W szklanym oku drzwi gabinetu naczelnika utkwiło żywe, ludzkie oko, które śledziło ceremonję.

Proboszcz *(mówił a za nim Ider powtarzał omdlałym głosem)* Ślubuję ci miłość...

W tej chwili wybiegł naczelnik i chwycił za rękę dziewczynę.

Naczelnik Ty jesteś Dina!

Dina Tak!

Naczelnik Ślub nie może być dokończony. Ta dziewczyna jest poszukiwaną przez nas przestępczynią, która nigdy nie była kochanką tego więźnia i chciała aktem małżeństwa wyzwolić się z pod władzy rodziców. Panienka za dużo ryzykowała, przypuszczając, że nie będzie poznana. Proszę do mnie.

Podczas tych słów przebrany za starca mężczyzna wysunął się niepostrzeżenie z gabinetu, do którego wszedł naczelnik z Diną, rzekłszy do naczelników

Przygotować celę i wezwać dozorcę.

Z pośród 14-u wymienionych krajów, w 3-ch niema żadnej absolutnej większości narodowej, mianowicie na Śląsku, Bukowinie i w 3-ch prowincjach nadmorskich (Istrja, Gorycja, Tryjest); w 5-ciu natomiast mamy ludność niemal jednolitą pod względem narodowościowym, obcokrajowa ludność krajów tych nie przenosi 6 /. ; z krajów tych 3 są niemieckie: Austrja Dolna i Górna oraz pograniczny z Bawarją Salzburg; w jednej tylko Austrji Dolnej obcokrajowcy (Czesi, zwiastujący bliskość swojej granicy etnograficznej) stanowią 5%; w obu innych krajach procent obcokrajowców jest mniejszy od 1%.

Oprócz trzech tych krajów, jednolitymi pod względem narodowym są: serbsko-chorwacka Dalmacja (96,65%), gdzie w bardzo nieznacznym stopniu widzimy tylko Włochów (2,61%), oraz Słoweńska Kraina (94,24), w której jest około 6% Niemców.

Obok tych krajów względnie jednolitych widzimy 6 innych krajów, w których, obok narodowości przeważającej, są bardzo poważne mniejszości narodowościowe, wahające się od przeszło 25% (Karyntja) do 42% (Galicja); z pośród tych 6 krajów — 3 są niemieckie, 2 czeskie, 1 polski. Niemieckimi są: Karyntja, Sztyrja i Tyrol. W Karyntji i Sztyrji widzimy obok Niemców poważną mniejszość Słoweńców, dochodzącą: w Karyntji do 25%, w Sztyrji do 31,18%, w Tyrolu Włosi stanowią 39,37% ludności. Południowe części tych krajów, przytykające do Włoch i Krainy, są przeważnie włoskimi i słoweńskimi.

W dwuch krajach czeskich: Czechach i Morawach widzimy poważne mniejszości niemieckie, w Czechach 37%, na Morawach 28%.

W Galicji — obok 54,66% Polaków jest 42,29% Ukraińców i 3% Niemców. Niemcy, będąc rozsiani po całym kraju, są liczniejsi na jego zachodzie, gdzie miejscami stanowią nawet poważniejsze mniejszości; Ukraińcy zaludniają Wschód Galicji, na Zachodzie ich niema; Galicja przeto pod względem etnograficznym winna być podzielona na 2 części: czysto polską i ukraińską z poważną mniejszością polską.

Obok powyższych 11 krajów, w których pewna narodowość stanowi absolutną większość, są trzy kraje, w których żadna narodowość nie ma absolutnej przewagi, są to mianowicie: Istrja z Gorycją i Tryjestem, Śląsk i Bukowina.

Zupełnie jest odmienna fizjognomja 3-ch prowincji nadmorskich od dwuch północnych. Tam widzimy znaczną przewagę nad innymi narodami Włochów, bliskość zaś słoweńskiej Krainy oraz Kroacji odbija się na ustosunkowaniu narodowym ludności.

Na Śląsku i Bukowinie widzimy w znaczniejszej ilości również po 3 narody; żaden jednak nie posiada takiej przewagi, jaką w trzech prowincjach nadmorskich mają Włosi nad Słoweńcami i Serbochorwatami.

Na Śląsku przewaga należy do Niemców, przeciwstawia im się jednak i przeważa nad Niemcami polsko-czeski żywioł słowiański; część Śląska — Księstwo Cieszyńskie etnograficznie stanowi kraj czysto polski, naogół zaś każdy trzeci mieszkaniec Śląska jest Polakiem.

Na Bukowinie uderza przedewszystkim wysoki stosunkowo odsetek Niemców, skutek kolonizacji niemieckiej na Wschód europejski. Mało rozwinięta kolonizacja ta w Galicji, bardzo daleko się posunęła na krańcowym Wschodzie Austrji, w Bukowinie, gdzie każdy 4—5-y mieszkaniec jest Niemcem. Z Bukowiny kolonizacja posuwa się dalej na Wschód, wkracza w granice Rumunji rosyjskiej — do Besarabji i po przez południe Rosji dociera aż nad Wołgę, do gub. Samarskiej, gdzie Niemcy stanowią aż 8% ludności gubernji. Przeważającym żywiołem na Bukowinie są Ukraińcy i północno-wschodnia część Bukowiny stanowi część etnograficznej Ukrainy; południowy zaś zachód jest etnograficznie rumuńskim; nieznaczny odsetek Polaków bukowińskich oznacza historyczną ekspansję polską na wschód z Rusi halickiej ku Mołdawji i Wołoszczyźnie.

(D. n.) *Edw. Grab.*

W sprawie serwitutów.

(Dokończenie).

Dziś praca ta postępuje zwolna i jeszcze być może dziesiątki lat przejdą, a końca, t. j. dobrowolnego uregulowania serwitutów nie doczekamy się.

Ciekawą rzeczą będzie może objaśnić, jak się „dobrowolną” umowę przeprowadza?

Inicjatywę najczęściej daje dziedzic.

Odniesiono Iderę. Proboszcz, widocznie przerażony, wyszedł pospiesznie.

Urzędnik 2 Kto ją poznał?

Urzędnik 1 Nie należy pytać.

Wpadł zadyszany agient.

Agient 1 Naczelnik sam?

Urzędnik 3 Zajęty.

Agient 1 Proszę donieść, że w pomarańczach doręczonej dziś posyłki dla Stanka wciśnięto piłki do przepiłowania krat, a w obrąbkach bielizny wszyto kilkanaście łokci sznurka.

Agient drugi wepchnął przed sobą kobietę i zawołał:

Agient 2 Hena!

Urzędnik 1 A, bardzo nam przyjemnie. Mamy już całą bandę.

Agient 3 (wpadając) Nieschwytani sprawcy zabili przed naszym więzieniem sędziego śledczego.

OBRAZ VIII.

Widok 1.

Przy długim stole na podwyższeniu siedziało siedmiu sędziów. Miejsca dla oskarżonych zajęli otoczeni strażą: Arjos, tryn, Stanko, Ila, Pera, Bonar, Lot. Do szczupłej sali wpuszczono niewiele publiczności.

Oskarżyciel (czyta) „Powoli ta występna szajka, do której należeli również uczestnicy skazani poprzednio, zamieniła spokojne szerzenie podniecających pism na wielką organizację ludowego buntu, który ostatecznie miał zburzyć istniejący ustrój państwa i układ stosunków społecznych. Do tego celu dążyła ona zapomocą drażnienia mas kłamstwem i niezliszczalnymi obietnicami, wydawaniem odezw rewolucyjnych, sławieniem bezrządu i bezwłasności, dokonywaniem zabójstw i rabunków, wyrabianiem materjałów wybuchowych, zakładaniem min w podkopach, szeregiem spełnionych i udaremnionych zamachów”...

Arjos Po co pan to swoje wypracowanie czyta? Sąd je zna, my w odpisach otrzymaliśmy, a garstka słuchaczów, która tu przyszła oglądać ciekawe widowisko, znudzi się zbyt długim monologiem jednego aktora.

Oskarżyciel Czy sąd się zgadza, ażeby nie czytać aktu oskarżenia?

Sędziowie naradzili się pocichu.

Gdy mu się za różne szkody, obficie naogół przy serwitutach przez włościan wyrządzane, nazbiera komisarskich wyroków na kilka lub kilkanaścieset rubli, gdy upewni się o życzliwym dla siebie stosunku odnośnych władz, woła jednego, dwuch, a czasem i więcej gospodarzy sprytniejszych (każdego rozumie się na cztery oczy) i mówi: „Mam na was wyroków na tyle, a tyle rubli — jeśli się odseparujecie na takich a takich warunkach, to nietylko wam, jak zresztą i całej wsi, kary daruję, ale za pomoc okazaną mi w tym przedsięwzięciu, spodziewajcie się brzęczącej wdzięczności".

Za takie bezwzględnie niemoralne pośrednictwa honorarja bywają częstokroć bardzo wysokie, zależnie od wpływów jednostki i skuteczności namowy.

A jednak faktycznie prawie żadna separacja nie byłaby doszła do skutku bez użycia tego środka.

Trudno pominąć milczeniem fakty (w ostatnich czasach już b. zresztą rzadkie) umyślnego prowokowania chłopów do kradzieży lub gwałtów, by ich następnie mieć w rękach przy separacji, lub by oddaniem sprawy na drogę kryminalną uwolnić się od sądów komisarskich.

Są one nadzwyczaj bolesne, ale prawdziwe.

Deprawację osiągnięto w całej pełni!

Gdy po długich, nadzwyczaj mozolnych targach, prośbach, groźbach, poczęstunkach, umowa wkońcu zostanie zawartą, wielceby się mylił ten, ktoby myślał, że po podpisaniu umowy przy świadkach, czterech sołtysach i wójcie (ale broń Boże nie przy rejencie), uważał już sprawę za zakończoną i sądził, że nie pozostaje mu nic innego jak przywieźć jeometrę i wypełnić warunki umowy!

Tu „liberalizm" prawodawstwa włościańskiego robi grube niespodzianki.

Włościanie, pomimo wszelkich zapisywanych w umowach kar wadjalnych, bez żadnej dla siebie odpowiedzialności cywilnej mogą się cofnąć od zawartej umowy do chwili, dopóki nie wejdą w faktyczne władanie ziemią.

Chodzi więc zawsze o to, by ich jak najprędzej w posiadanie wprowadzić, by się zagospodarowali, wtedy można już cokolwiek swobodniej odetchnąć, ale do urzędowego końca jeszcze bardzo daleko.

Po poświadczeniu przez komisarza, plany i sama umowa są odsyłane do gubernjalnej komisji do spraw włościańskich, tu jeszcze raz przejrzane i poświadczone, wędrują do Petersburga do Ziemskiego oddziału na ostateczne zatwierdzenie.

Każda z pomienionych instytucji ma sobie za obowiązek dopatrzenia się jakiej nieprawidłowości i nieformalności w planach i samej umowie i znów cały aparat odsyłany jest z powrotem dla „rozjaśnienia", by znów jeszcze raz do stolicy zawitać.

Widzimy więc, że z rzadką u rosyjskiej biurokracji sumiennością i ścisłością wyjątkowo nie zaniedbano nic uczynić, by w miarę możności utrudnić regulowanie służebności włościańskich.

Jak już zaznaczyłem, prawnie nikogo do zawarcia separacji zmusić nie można.

Często, bardzo często zdarza się, że w interesie całej wsi leży separacja, a tu znajdzie się chłop — indywidualista krańcowy, który wbrew innym nie chce słuchać o zaakceptowaniu umowy. Zdarza się, że wyłącza się go, cała wieś się seperuje, ale bywa i tak, szczególniej przy serwitutach leśnych, że pozostawienie jednej bodajby osady pociąga dla właściciela takie kłopoty i wydatki, że woli on tak postawić sprawę: albo wszyscy się separują, albo nikt.

Z winy jednego człowieka cierpi cała gromada.

Co zwykle dostają włościanie przy regulowaniu serwitutów?

Normy praktykowane niesłychanie różnią się między sobą, zależnie od całego szeregu przyczyn a głównie od jakości ziemi. Znam wypadki, w których różnice mają się do siebie jak]1 : 30!

O wysokich normach, wpływających tak dodatnio na zwiększenie się włościańskiego stanu posiadania, muszę tu kilka słów zamieścić, gdyż i tego gatunku filantropja stanowczo zasługuje na to, by ją na światło dzienne wydobyć.

Jak wiadomo w Królestwie Polskim obowiązuje ochrona leśna. Prawnie nie można eksploatować lasu inaczej, jak wedle ściśle sporządzonych planów gospodarstwa leśnego, a więc rocznymi porębami.

W praktyce bywa i inaczej.

By otrzymać pozwolenie na wycięcie lasu, oprócz innych dowodów delikatniejszej natury trzeba przedstawić jakiś powód urzędowy, na zasadzie którego pozwolą i przy istniejącej ochronie las wyciąć. Jednym z najczęstszych jest ten, że właściciel oddaje przy separacji włościanom ziemię z pod lasu, ale bez drzewa. Wtedy komitet leśny pozwala las wyciąć na przestrzeni, obejmowanej przez włościan i tu to spotykamy owe

---

Przewodniczący Sąd przychyla się do tego żądania i rozpoczyna badanie świadków.

Arjos Jako rzecznik moich towarzyszów oświadczam, że jest to całkiem niepotrzebne wobec tego, że wszyscy przyznajemy się do zarzucanych nam przekonań i czynów.

Sędziowie naradzili się.

Przewodniczący Sąd jeszcze raz proponuje oskarżonym powierzenie swych spraw adwokatom i w tym celu może zrobić przerwę.

Arjos I to jest zbyteczne, gdyż my nie zamierzamy się bronić.

Sędziowie naradzili się.

Przewodniczący Czy oskarżeni uprzytomnili sobie zgubne następstwa takiego zaniechania wszelkiej obrony?

Arjos Owszem, następstwa te są nam wiadome, gdyż znamy wydany już na nas uprzednio wyrok.

Powstało zamieszanie śród sędziów, którego powód był dla przewodniczącego widocznie niezrozumiały. Naradzili się.

Przewodniczący Na jakiej podstawie oskarżony Arjos uczynił tę zniewagę sądowi?

Arjos Na podstawie tego dokumentu, który znajduje się w aktach sądu. Proszę o pozwolenie przejrzenia a ja go w nich wskażę. Jestem dobrze poinformowany: wy macie śród nas zdrajcę Witela, który wam doniósł, co my robiliśmy, a my mamy śród was zdrajcę urzędnika, który nam doniósł, co wy z nami zrobicie.

Zamieszanie wzmogło się; sędziowie szeptali gorączkowo, pochyleni ku przewodniczącemu.

Przewodniczący Sąd najuroczyściej zapewnia, że nie ma przygotowanego wyroku.

Arjos Sąd kłamie!

Zerwał się zgiełk, w którym wzięła również udział publiczność z sali.

Przewodniczący Sąd uda się na naradę.

Przerwę wypełniła wrzawa. Z pośród słuchaczów rzucano ku oskarżonym słowa pochwały lub groźby.

hojne wynagrodzenia za serwituty, sięgające 20 mórg i więcej na osadę.

I co się dzieje. Dostaje chłop znaczną przestrzeń pustkowia, częstokroć oddalonego od osady.

Wiadomo, że większość lasów naszych rośnie na szczerych piaskach, częstokroć lotnych. Niechno chłop pługiem poruszy zwierzchnią, jako tako już udarnioną warstwę ziemi, wnet wiatry staną się faktycznymi panami położenia.

W dnie wietrzne tumany drobnego piachu pędzą przez okolicę, zasypując urodzajniejsze przestrzenie.

W rezultacie nie tylko włościanin nie ma nic ze swoich obszarów, a przeciwnie, ponosi straty i on i jego sąsiedzi przez stopniowe zasypywanie przestrzeni rolnej. Dziedzic nie potrzebuje myśleć o zadrzewieniu wyrąbanych przestrzeni, ani o podatkach, które przecie z nieużytków przykro jest płacić.

W Petersburgu, gdzie, jak wiadomo, wielce dbają o interes chłopa polskiego, takich separacji nie kwestjonują, boć przecie trudno jest siedzeć w Petersburgu w Ziemskim oddziele i wiedzieć co się dzieje w Wydmuchowej Wólce.

Niemniej jednak każda separacja, każdy najdrobniejszy układ zawarty między dziedzicem Wydmuchowej Wólki a gospodarzem tejże wsi, drogą okólną przez miasto powiatowe i gubernjalne wędruje do stolicy na zatwierdzenie przez ludzi, których większość nie przekroczyła nigdy rogatek rodzinnego Pitera.

Podobna gospodarka jest zbrodnią wobec kraju całego i należałoby bezwarunkowo ostateczny kres jej położyć.

Nie kwestjonują też komisje i Wydział ziemski, separacji na zasadzie których chłopi dzieląc się kawałkami ziemi, wytwarzają szachownicę, rznąc grunta na drobne skrawki, zato sprawdza się bardzo sumiennie czy Jan i Iwan są jedną i tą samą osobą, czy Magda wdowa miała upoważnienie od opieki na separunek.

Wobec tylu ujemnych stron serwitutów i niesłychanych trudności przy ich usuwaniu, ostateczne załatwienie tej sprawy gwałtownie, wprost żywiołowo domaga się rozwiązania, z uwzględnieniem interesów nietylko stron bezpośrednio zainteresowanych, ale i całości gospodarstwa krajowego. Dlatego też byłoby rzeczą konieczną opracowanie pewnych stałych reguł i przepisów obowiązujących przy separacji, i tak:

1) Nie wolno dawać włościanom największych bodaj obszarów nieużytków, wydm, błot, ziemi z pod lasu.

2) Nie jest z punktu widzenia bogactwa krajowego i gospodarki leśnej rzeczą wskazaną, by serwituty leśne zaspakajać lasem, gdyż ten w rękach włościan prawie zawsze ulega strasznemu spustoszeniu, jeśli nie całkowitemu wycięciu.

Na drobnych zaś morgowych lub dwumorgowych działkach, o racjonalnym systemie gospodarstwa leśnego żadnej mowy nawet być nie może. Wynagrodzenie za serwitut leśny powinno być przyznawane włościanom bądź w ziemi ornej, bądź w łąkach, bądź, w wypadkach braku ziemi, pieniędzmi, w każdym razie bez uszczuplenia istniejących przestrzeni leśnych.

3) Przy regulowaniu serwitutów należy znieść jednocześnie szachownicę, gdzie ta istnieje; w żadnym natomiast wypadku nie dopuszczać do tworzenia nowej.

Czy możliwą jest wszędzie dobrowolna separacja?

Stanowczo nie!

Z faktem przymusowego regulowania tej kwestji, czas najwyższy pogodzić się tak chłopom jak i szlachcie.

Należy jedynie wybrać najdogodniejszą formę przymusowej separacji.

Pozwolę sobie podać najprostszy podług mnie sposób.

Pozwolić w ciągu lat 3 regulować polubownie serwituty z obowiązkowym zachowywaniem trzech wyżej wymienionych punktów.

Po upływie tego terminu wchodzą w życie komisje powiatowe, w równej liczbie wybierane przez szlachtę i chłopów z grona obywateli i włościan, którzy swoje serwituty uregulowali już poprzednio i dziś osobiście zainteresowani nie są.

Komisja licząca równą ilość członków wybieralnych przez obydwie strony zainteresowane, zaprasza sobie jednego superarbitra z osób postronnych, znanych ze swej nieposzlakowanej uczciwości, no i obeznanych nietylko ze sprawą serwitutów ale i z rolnictwem.

Komisja każda w swoim powiecie ustanawia taksę, czyli zamianę poszczególnych serwitutów na pieniądze. Ziemia, którą komisja uzna za podatną do separacji, musi być również rozklasyfikowana podług jakości, otaksowana na pieniądze i oddawana włościanom w takiej ilości, by serwitut przedstawiał $4\frac{1}{2}\%$ od wartości wydzielanej przestrzeni. Sposób jak widzimy bardzo prosty i wykonalny.

Jeśli dodamy jeszcze komisję weryfikacyjną i apelacyjną, z grona komisji urządzających wybieralne,

---

Przewodniczący (*wróciwszy*) Sąd postanowił: oskarżonego Arjosa odesłać do więzienia, gdzie będzie ukarany głodem i ciemnicą aż do uprawomocnienia się wyroku a sprawę w dalszym ciągu prowadzić bez niego.

Głosy oskarżonych Nie chcemy!

— Niech nas również odprowadzą!

Przewodniczący (*usiłując pochwycić uchem znaczenie krzyków*) Sąd po raz ostatni wzywa oskarżonych do wybrania adwokatów.

Arjos Moi towarzysze upoważniają mnie do oświadczenia: nie chcą być uczestnikami komedji, której zakończenie jest wiadome i która do takiego stopnia urąga prawom oskarżonych, że badać świadków i słuchać obron ma przewodniczący głuchy.

Wołania (*w sali i śród sędziów*) Co on powiedział?

— Nieprawda!

Arjos Stwierdzam stanowczo, że prezes sądu jest kaleką i słyszy tylko szepty kolegów. Proszę zauważyć, że on w tej chwili nie wie, co ja mówię.

Wszyscy zdrętwieli w milczeniu. Tylko przewodniczący kręcił się na fotelu, pytając zakłopotanym wzrokiem, co spowodowało nagłą ciszę. Objaśniony targnął się gniewnie i rzekł:

Przewodniczący Wobec zuchwałego zachowania się oskarżonych, odmowy zeznań i obrony, sąd zawyrokuje o ich winie na mocy materjału dostarczonego przez śledztwo.

Sędziowie oddalili się. Zdawało się, że pod sklepieniem sali zawisły na szeroko rozpostartych skrzydłach złe duchy, w które wpatrywały się skamieniałe myśli oczekujących wyroku. Z niemych ust wylatywały ciężkie, niespokojne oddechy. Narada trwała krótko — sąd wrócił.

Przewodniczący Sąd skazał: Arjosa, Stanka, Litryna, Bonara, Ilę, Perę, Lota na śmierć.

Arjos (*rzucając kartkę na stół sędziowski*) Oto dostarczona nam wczoraj zupełnie zgodna z tym wyrokiem jego kopja.

Sędziowie wybiegli, publiczność wysypała się z sali wolno, oskarżeni odeszli pod strażą spokojnie.

(D. C. N.)

będziemy mieli w grubych coprawda, bardzo ogólnych zarysach szkic do projektu prawa o przymusowej separacji. Chodzi jedynie o to, by palącą sprawę uregulowania serwitutów bez czyjejkolwiekbądź krzywdy i z pożytkiem dla kraju chcieli naprawdę wziąć do serca nasi posłowie w Dumie.

M. D..ski.

Z DNA NĘDZY.

III. Choroba i śmierć.

Drugą kategorję, bardzo zresztą do pierwszej zbliżoną, stanowią chore, podniesione przez policję na ulicy. I dla nich niema miejsca w szpitalu. Jeden obraz utkwił silnie w mej pamięci, jakąś straszną siną grozą. Policja podniosła na ulicy nieprzytomną kobietę. Było podejrzenie, że to pijana, więc z cyrkułu przewieziono ją do ratusza, do aresztu. Była duża, bezwładna, ciężka. Strażnik nie mógł jej unieść, ciągnął przeto po ziemi (robił to zresztą możliwie delikatnie). Twarzy nie widziałam, oczy moje uderzyły tylko sine, nabrzmiałe nogi, które widać było z pod ściągniętej spódnicy. Złożono ją w kącie na sienniku. Felczer przyniósł jakieś krople. Chora i nazajutrz nie odzyskała przytomności, leżała milcząca, straszna, nieruchoma, z nawpół otwartymi oczyma, nie mogła przełknąć podanej jej czarnej kawy, nie reagowała na eter; już rano była tak martwo trupia, że brakło odwagi do rozcierania jej nóg i rąk. Pozostawiono ją leżącą w kącie a wokoło wrzał krzyk, rozmowy, kłótnie. Około godziny 4 po południu, gdy niedzielne widzenia spotęgowały gwar, chora umarła. Zwłoki przeniesiono pośpiesznie składając je...„w karcu". Nikt nie wiedział kto ona, nikt nie ratował jej życia i chwili śmierci nikt nie zauważył...

Wydało mi się profanacją śmierci, ten zgon wśród brutalności życia więziennego, te zwłoki w karcu złożone. Są ludzie dla których niema spokojnego miejsca na świecie nawet w chwili ostatniej. Tuli ich miłosiernie areszt ratuszowy. Była to niedziela — na widzeniu od naszych gości otrzymałyśmy kwiaty. Mimo sentymentalizmu żadna nie miała odwagi rzucić kwiatów na te zwłoki w karcu zamknięte. Kwiat mógłby uderzyć w nie jak urąganie.

Dwukrotnie w czasie mojego pobytu w ratuszu— przebywała tam w areszcie odsiadując karę — epileptyczka. Zwałyśmy ją „siłaczką"—bo często opowiadała o swej niezwykłej sile, pokazując z dumą muskuły swych suchych rąk. Stale nerwowo podniecona, z obwiązaną głową, szukała ujścia dla swej chorobliwej energji. Nie zachęcana przez nikogo, nie wynagradzana za to, szorowała korytarze więzienne, robiła porządek w „Dumie". To samo podniecenie, które gnało ją do ruchu, pracy, pchało ją i do awantur. W więzieniu szukała zwady z towarzyszkami; do więzienia dostawała się wskutek awantur ulicznych. A przecież dosyć było spojrzeć w jej oczy, usłyszeć jej głos, aby zrozumieć że to człowiek chory. W przytułku niema dla niej miejsca, ratusz przyjmie zawsze.

Wśród chorych najczęściej spotykałam warjatki. Czym jest warjatka w natłoczonej sali, czym jest życie nieszczęśliwej wśród tłumu aresztantek, łatwo sobie wyobrazić. Widziałam różne typy obłąkanych, jedne całymi dniami śpiewały, inne gadały powtarzając ciągle to samo, najliczniejsze jednak tonęły w smutku, zawodziły żałośnie dniem i nocą. Czy można się dziwić, że przygodne ich towarzyszki, gdy im chore ani spać, ani mówić, ani myśleć spokojnie nie dają — niecierpliwią się i biją je nawet? Czyż można się dziwić, że ciemne, nie rozumiejące choroby umysłowej, gniewają się lub szydzą? Jak często na moje tłumaczenie „ona chora", odpowiadały mi „ale, chora! — je doskonale, udaje tylko głupią — nie chce powiedzieć kto jest".

Jedna młoda żydówka dniami całymi krzyczała że chce iść do szpitala, z dumą wołała „ja jestem warjatka nie k . . . a".

W szpitalu przyjąć jej nie chcieli z powodu braku miejsca, musiała w ratuszu czekać na etap (odstawienie warjatów na miejsce urodzenia, to środek zastępujący danie im opieki). Ile razy spotykała nas na korytarzu, z oburzeniem gwałtownym opowiadała zawsze: „więzienie nowe to budują, a szpitala to zbudować nie mogą". Inna, przyprowadzona do ratusza leżała przez dłuższy czas cicho, milczała uparcie, nie chciała powiedzieć, jak się nazywa.

Potym nagle zaczęła płakać; odtąd płakała godzinami całymi, głośno, żałośnie. Towarzyszki krzyczały na nią, biły ją, wypędzały z sali, ona płakała wciąż, aż coś w duszy rwało się od skarg tego płaczu.

Życie w tej głośnej, gwarnej gromadzie musiało ją męczyć, prosiła bowiem, aby pozwolono jej siedzieć w korytarzu na schodkach. Sama obłąkana czasem błagała, aby ją zamknąć „w karcu", tak nerwom jej dokuczał tłum.

Oto jedna z okropnych scen na tle więziennego życia. Słyszę w IV celi krzyk jakiś cichy, płaczliwy, dziecinny, stłumiony głośnym śmiechem. Było w tym śmiechu coś tak strasznego, że pobiegłam zobaczyć, co się tam dzieje. W szarzejącym zmroku zobaczyłam postać nagiej kobiety; stare, wychudłe, pochylone ciało, skurczone jakby się ukryć chciało i najmniej miejsca zająć na świecie — ciało cuchnące uwalane okropnie. Poznałam starą siwą warjatkę, którą raz widziałam, gdy przechodząc przez korytarz upadła bezsilnie, a która od tygodnia leżała cicho pod piecem. Gnano ją wokoło pryczy, uderzając ze śmiechem od czasu do czasu. Krzyk mój uciszył śmiech,a w tej ciszy staruszka skurczyła się jeszcze silniej — wlokla się na swój zawalany siennik. Dowiedziawszy się, że chcąc ją ukarać za nieporządek, ubranie jej (wyglądało ono jak podarty szynel żołnierski) wyrzuciły, zwróciłam się do aresztantek z propozycją, że przyniosę czystą bieliznę, aby która z nich zechciała starą umyć i ubrać. Na to zerwała się siedząca dotąd spokojnie młoda dziewczyna: „Takie pani ręce jak moje! Dobrodzika! koszulę daje! dam tu 200 rb. — jeżeli pani ją umyje i ubierze". Umiałam tylko przyznać,że szukałam wśród nich lepszej od siebie, któraby się zdobyła na to, na co ja zdobyć się nie mogłam. Znalazły się 4 pary rąk gotowych do usług — może tych samych, które przed chwilą wymierzały razy; 4 pary rąk, przed których gotowością służenia musiałam spuścić oczy — ja, która weszłam do celi, uczyć litości i miłosierdzia.

Wśród tej galerji warjatek widziałam dwoje dzieci. Józia 14—15 letnia, dawna uczennica gimnazjum kieleckiego, robiła wrażenie raczej dobrego, nierozwiniętego dziecka, nie warjatki. Ojciec (urzędnik w administracji rolniczej dużego majątku) umieścił Józię w Tworkach. Józia wyszła z siostrą dobrodziejką na spacer, a pozostawiona na chwilę sama w lesie, szła ciągle przed siebie, aż doszła do Warszawy. Mimo zimnych dni listopadowych, dziecko miało na sobie tylko koszulę, szlafrok szpitalny i pantofle. Policja zatrzymała ją i odstawiła do aresztu policyjnego. Dziecko było wyraźnie chore. Kilka razy dziennie krew rzucała się jej ustami, leżała przeważnie zimna i sztywna — czasem drzemała jęcząc głośno z powodu bólu głowy, chwilami tylko odzyskiwała przytomność. I znów trzeba bić się w piersi. My t. zw. polityczne, posądzane o walkę za prawa ludzkie człowieka, zdobyłyśmy się tylko na dostarczenie dziecku ubrania i żywności, pozwalając chorej leżeć w celi IV dusznej, zimnej, wśród dziewcząt z których każda mimowoli zarazić ją mogła. Po kilku dniach naczelnik więzie-

nia posłał Józię do szpitala na Pradze — tu poznano szlafrok z Tworek; szpital praski, nie przeznaczony dla warjatów, zawiadomił tylko Tworki o obecności Józi. Przyjechała siostra miłosierdzia (?), oddano dziecko w jej ręce. Szpital w Tworkach zawiadomił już był ojca chorej o jej ucieczce, ojciec miał się zgłosić do Warszawy, „nie warto było” dziecka zabierać do Tworek. Siostra była, według słów Józi, tak dobra, że dała strażnikowi 20 kop. aby odwiózł chorą „do policji”. I przez cyrkuł wróciła Józia do piekła ratuszowego, od którego, jak sama skarżyła się, pękała jej głowa.

W piekle tym chora spędziła znów dni kilka, zanim przez prywatne stosunki udało się umieścić ją w szpitalu u Jana Bożego.

Inne dziecko, to maleńka 5—6 letnia żydówka; zginęła na ulicy, lub zgubiono ją rozmyślnie. Oddziałowa przyprowadziła ją do nas do celi; litowano się zrazu serdecznie nad dzieckiem, współczucie ostygło jednak bardzo, gdy się okazało, że dziecko jest niemową, może idjotką i że głowa jego pokryta parchami. „Niepodobno przecież narażać się na zarazę — biorąc dziecko do celi”. Niebezpieczeństwo zarazy przeto zjawiło się tam, gdzie w tłoku mogło być groźniejsze, spadło na towarzyszki z IV celi, na nie też spadła odpowiedzialność i trudy opieki. Dziecko płakało dniem i nocą, jadło żarłocznie, lecz nie trawiło — narażając sąsiadki swe, obok zarazy—na brak spokoju i skutki nieporządku. Wymyślano na małą w IV celi, nazywano ją „żydówką, przybłędą, parszywą”, a jednak przez te kilka dni, zanim naczelnikowi więzienia udało się przy pomocy adwokatów umieścić dziecko w zakładzie dla niego odpowiedniejszym, niż areszt policyjny, zanim znalazł dla niego miejsce na świecie, dziewczęta z IV celi opiekowały się nią, myły, karmiły, prały odzież.

IV. - Dzieci więzienne.

Głos dziecinny w ratuszu!

Z przerażeniem usłyszałam pierwszy raz i głos dziecka i tupot nóżek dziecinnych na korytarzu więziennym. A przecież tyle dzieci w różnym wieku od niemowląt do podlotków przesuwa się przez areszt policyjny. Jest on bowiem i domem wychowawczym dla dzieci *lumpen-proletarjatu*. Wiele kobiet odsiadując karę policyjną, zabiera z sobą do ratusza niemowlęta u piersi lub starsze dzieci, których niema gdzie, niema przy kim pozostawić. Nie rozumie ona, że życie ratuszowe, jego atmosfera, obrazy, rozmowy, to coś, od czego należałoby dziecko za wszelką cenę uchronić,nawet wtedy,gdy dla niego obrazy ratuszowego życia niewiele się różnią od wspomnień życia domowego. Dziwne—te dzieci w więzieniu są ciche i milczące. Słyszałam często płacz niemowląt, rozmów jednak dziecinnych, gwarzenia, śmiechu dziecinnego nie słyszałam nigdy.

Oprócz dzieci, które towarzyszą matkom spotyka się i dzieci samotne, dzieci opuszczone przez rodziców, osierocone, bez papierów i t. p.

Przez tydzień przebywała w areszcie dziewczynka 12 letnia, aresztowana na granicy, gdzie ją rodzice pozostawili wędrując w świat. Odstawiono ją do Warszawy, jako do miejsca urodzenia, a do czasu odszukania rodziny zostawiono w ratuszowym areszcie. Dziecko na szczęście zabrały polityczne do swej celi i (zwykle pomieszcza się takie dzieci w celi IV), otoczyły opieką tak poczciwą i serdeczną, że „nigdy i nigdzie nie było jej tak dobrze”. Poprzednio była w służbie w jakimś zajeździe, z ratusza wziął ją ktoś z rodziny. Czy też dziecku temu u krewnych, na swobodzie—życie da coś więcej niż to, co mógł mu dać areszt?

Do dzieci zaliczyć muszę matkę-dziecko, dziewczynkę 15 letnią, odesłaną do aresztu z przytułku położniczego, gdzie przechodziła połóg. Nieletnią oddano następnie pod opiekę policji, która ze swojej strony odstawić ją miała do rodziców. W ratuszu siedziała, czekając na etap.

Żydóweczkę z małej mieściny w Kieleckim, oddano do Warszawy do służby. Tu syn gospodarza zgwałcił ją. Trudno nam było porozumieć się z nią, gdyż mówiła prawie wyłącznie żargonem, wogóle zaś była mało rozwinięta, albo nawet zidjociała wskutek ostatniego przejścia. Tego co przeżyła, zdawała się nie rozumieć zupełnie, nie czuła ani wielkości, ani powagi, ani grozy przeżytych chwil. Nie trzeba chyba nawet zaznaczać, że uczuć macierzyńskich nie miała zupełnie. Narzekała tylko na jedno, że piersi ją bolą. Piersi te bardzo nabrzmiałe, silnie rozwinięte, karykaturalnie wyglądały przy dziecinnej postaci. Zawsze cicha, bezmyślna, na nic się nigdy nie skarżyła, o nic nie upominała, o nic nie prosiła. Dwa razy tylko widziałam twarz jej rozjaśnioną uśmiechem: raz gdy dostała grzebień, aby mogła doprowadzić do porządku swoją wielką, roztarganą czuprynę (lusterko przyjęła obojętnie). Drugi raz, gdy dostała 50 kop. na drogę. Wszystkie aresztantki, młode, czy stare otaczały ją specjalną opieką. Wszystkie czuły w niej pokrzywdzone dziecko. Nawet antysemityzm w tym wypadku przycichł zupełnie. Zwracały się do niej z serdecznym współczuciem. Jednocześnie z wszystkich ust padały gromy na głowę nieznanego krzywdziciela.

Inna dziewczynka, dziecko nieledwie (16 letnia), po sztucznym poronieniu leżała w szpitalu, skąd na żądanie matki policja ją zabrała, aby odstawić nieletnią pod dach rodzicielski. Dziewczyna była jeszcze chora, miała ciągły krwotok, i wchodzenie na wysoką pryczę wzmagało męczące ją ciągle boleści. Mimo takiego stanu, w oznaczonym dniu poszła na etap. Śliczne, delikatne, ciche, nieśmiałe dziecko, za najmniejszą przysługę, za dobre słowo dziękowała smutnymi, zmęczonymi oczami. Miała na sobie karakułowy żakiet, jedwabną bluzkę i w kieszeni 3 kop. na drogę, 3 kop. o których mówiła: „mam trochę pieniędzy na drogę”.

Przez kilka tylko godzin były w ratuszowym areszcie, (przeniesione zaraz do więzienia przy ulicy Spokojnej) młode dziewczynki żydowskie, aresztowane w tajnym domu publicznym. Rano zbudziła nas starsza żydówka prostytutka, prosząc o radę dla świeżo przyprowadzonych do aresztu dziewcząt „porządnych dzieci”, które nie wiedzą, za co je aresztowano. Z rozmowy z nimi rzeczywiście zdawało się, że z wyjątkiem jednej, reszta to nierozumiejące jeszcze życia dzieci, pchnięte przez rodziców, czy starszych na dno. Zdawały się nie rozumieć jeszcze ani swego życia, ani swego położenia, ani czego od nich chcą, czym one względem społeczeństwa zawiniły. Na myśl im, ma się rozumieć, przyjść nie mogło, aby odwrócić pytanie: z obwinionych przez społeczeństwo—stanąć w roli oskarżających za swą krzywdę. Posłano te dzieci do więzienia na Spokojną. Dłuższy pobyt w areszcie policyjnym, dokończy napewno ich wychowania.

(C. d. n.) *Stefanja Sempołowska.*

NA DOBIE.

Sąd partyjny.

Rozegrywa się w Krakowie ponury dramat na posępnym tle porewolucyjnych mroków: Sąd partyjny, zwołany na życzenie oskarżonego, roztrząsa winy, przypisywane człowiekowi wielkiego talentu i szerokiego wpływu, który porywał i zapalał umysły, gromił

i wstrząsał sumienia, stawiał, pod pręgierz przeciwników a nie oszczędzał i ludzi z własnego obozu, gdy ich o chwiejność i dwulicowość posądzał. Blizko rok temu nazwisko jego ukazało się na czarnej liście szpiegów, na liście wziętej ze źródła nie tyle wiarogodnego ile kompetentnego, od człowieka, który niewątpliwie w owe czasy wiedział, kto służył ochranie warszawskiej, gdyż sam był jej głównym działaczem, lecz tyle razy z urzędu kłamał, tyle razy dopuszczał się zdrady, że jego dzisiejsza rola oskarżyciela i moralizatora jest krwawym urągowiskiem dla etyki publicznej.

Bakaj contra Brzozowski! Tegośmy doczekali!

I oto wkoło tego faktu, który sam przez się tak jest straszny, że każdego, kraj miłującego obywatela z jakiegokolwiek obozu zgrozą przejąć musi—wszczyna się jarmarczną wrzawę. Jedni widzą w nim dziennikarską sensację, inni kują z niego broń przeciw partjom rewolucyjnym i ze świętoszkowskim zgorszeniem mówią o sędziach i o oskarżonym; inni wreszcie sami dzielą się na partje, rozwijają krzykliwą agitację, usiłują naciskiem moralnym na sąd i świadków przechylić szalę na jedną lub drugą stronę i wytwarza się taki nastrój, w którym już nie dziwiłyby zakłady o rezultat procesu.

Wszystko to razem jest niewypowiedzianie smutnym objawem jakiejś dziwnej gruboskórności moralnej i spaczenia sumienia publicznego.

Wszakże wyrazem tego sumienia winien być każdy wyrok sądowy, a tymbardziej wyrok sądu obywatelskiego. Obowiązkiem każdego uczciwego członka społeczeństwa jest strzec, aby nic nie zmąciło objektywnej bezstronności i nie zachwianej żadnymi względami surowej sprawiedliwości jego wyroków. Tu zamilknąć muszą wszelkie uczucia sympatji czy niechęci, solidarności czy antagonizmu politycznego. We wspólnym interesie wszystkich leży tylko jeden cel: wyświetlenie prawdy.

Jeżeli Bakaj prawdę mówi, Brzozowski jest człowiekiem szkodliwym i niebezpiecznym. Ci, co polegali na zeznaniach Bakaja, spełnili swój obowiązek ostrzegając przed nim ogół.

A jeśli Bakaj w błąd ich wprowadził i spotwarzono niewinnego, to prócz niego samego ofiarą omyłki padli i ci wszyscy co fałszywym zeznaniom wierzyli. Sprawdzenie i ustalenie faktów choćby przeciwnych ich pierwotnemu mniemaniu, będzie nie porażką, lecz zasługą tych, co sąd składają.

W przekonaniu, że sędziowie krakowscy tylko z tego wyższego, jedynego godnego siebie stanowiska traktować będą sprawę, w milczeniu, nie chcąc powiększać gorszącej wrzawy — oczekiwaliśmy jego wyroku.

Dziś sprawę ponownie odroczono, a sądząc z jej przebiegu — można przypuszczać, że ona nie skończy się prędko.

A tymczasem niepokój i ferment trwa.

Tu już w grę wchodzi nietylko dobre imię jednego człowieka, lecz czystość i prawość sumienia publicznego. Rodzi się obawa, że każdy agient ochrany w rodzaju Bakaja, może rzucić na pastwę opinji pierwsze lepsze nazwisko, jako sensacyjny żer dla plotkarskich namiętności tłumu, że nazwisko to może być szarpane i poniewierane bez końca, że zaś brak dowodów pozytywnych obmowy nie ucisza, a dowodów negatywnych często dostarczyć niepodobna, więc kogo Bakaj potępia, będzie potępiony.

I niechaj nikt się nie pociesza, że zbyt wysoko stoi moralnie, by go spotkać mogło to, co spotkało Brzozowskiego. Byli ludzie, dla których ten ostatni był autorytetem, był nim niewątpliwie w swoim własnym przekonaniu, gdy gromił i piętnował drugich, niepomny zasady: „nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni"! Nikt nie stoi tak wysoko, by go błoto potwarzy dosięgnąć nie mogło, a gdy w społeczeństwie poczucie sprawiedliwości jest małe, a amatorstwo skandalu wielkie, dla przyjemności bryzgania na drugich chętnie ten i ów sam się wala.

i. r.

ECHA PRAWDY.

Z pewnej książki — sprawozdanie nieliterackie.

Trzeba będzie wreszcie cieszyć się z tego, że Polska jest ojczyzną analfabetów, bo, gdyby wszczepić w nią to wszystko, czym zalewa ją od pewnego czasu handel drukowanym słowem, można byłoby znienawidzieć elementarz. Okna pokątnych ksiegarni zalegają całe sterty przeróżnych wydawnictw „popularnych". Jest tu i higjena i historja i publicystyka o sensacyjnych tytułach; roi się od poradników, uzurpujących sobie charakter wykładów naukowych. Coraz częściej zjawiają się wydawnictwa w różnokolorowych opaskach z napisem: dla dorosłych, a naiwny tylko nie zrozumie, że jest to sprytna przynęta, na którą właśnie najsnadniej łapie się młodzież.

I mimowoli rodzi się pytanie, czy ten chwast ma być rzeczywiście jedynym skutkiem zmienionych warunków, jedynym owocem manifestów gwarantujących wolność słowa.

Pierwsza zdyskontowała je wszelkiego rodzaju pornografja i stała się dobrze rentującym interesem. Czy jest ona „literaturą", czy „nauką", napewno liczyć może na popyt i chętnych a licznych znajdzie czytelników, więc jest tanią, więc jest przystępną dla wszystkich, jest popularną, staje się natrętną i zuchwałą.

W tych dniach otrzymałem książkę ustrojoną w żółtą opaskę. Rzucam okiem na kartę tytułową: O. Mirbeau: „Ogród udręczeń". Zabolała mnie ta przepaska na książce, z której można zrobić pornografję, która jednak pornografją nie jest; domyśliłem się, czym jej kazano działać, co wysunięto w niej na pierwszy plan, ale nie przypuszczałem, by wydawca czy tłumacz pozwolili sobie tak bez ceremonji skracać, obcinać i przyprawiać do popularnego smaku pracę autora, do którego nie dorośli widocznie bo nie zrozumieli jego intencji, pogrzebali i skazili jego myśl przewodnią. Z „Jardin des supplices" Oktawjusza Mirbeau zrobiono tu prawdziwą pornografję. Usunięto całą pierwszą jego część, najpiękniejszą może, bo mieszczącą w sobie wszystkie zalety satyrycznego pióra jej autora, obdarto ją z tego światła, które całej książce daje zabarwienie i kazano jej być tylko opisem przeróżnych okropności, brudów i wstrętów. I wreszcie pozostawało tylko zareklamować spreparowany w ten sposób produkt. W *Przeglądzie Porannym* z dnia 1 kwietnia znalazłem taki anons przed tekstem wielkimi wydrukowany literami. „Ogród udręczeń" do nabycia we wszystkich księgarniach! Jest to książka pełna krzyku męczarni, woni oszałamiających i przykrych. Przy czytaniu czuje się lepką krew, zapach ćwiartowanego mięsa".

Tu już wyraźnie powiedziano. czym handel chce zalecić tę książkę, ale i reklama ma swoje granice, i jeśli ktoś ma ochotę w cudzym domu potajemnie założyć dom publiczny, to niechże choć szyldów na bramie nie wywiesza.

Wieczór Słowackiego w Dolinie.

Warszawa umiała kiedyś milczeć. Milczały place, milczały fasady domów, milczało słowo, ale wymownym i uroczystym było to milczenie.

Dziesiątki lat czekało się na słowo o twórcy Kordjana i może jeszcze dziesiątki lat czekać trzeba

będzie, nim to słowo w duszy narodu dojrzeje i stanie się godnym jego gienjusza hołdem, ale do tej chwili może i lepiej byłoby nie brać imienia jego nadaremno, gdy niema ust dość gorących, któreby je tak powtórzyć umiały, by dźwiękiem tym zadrgały wszystkie serca i wszystkie duchy z jego duszą zbratać się mogły.

Tymczasem urządzono nam wieczór Słowackiego w Dolinie.

W zimnej sali marznąca publiczność, produkcje zaiste „amatorskie", gdzie dobrym uczynkiem było nietylko kupienie biletu, ale i wysłuchanie znacznej części programu, rozmaite incidents techniczne związane z trudnościami ustawienia budki suflera, a wprowadzające trochę humoru w ten zaiste żałobny nastrój odświętnego widowiska — oto wszystko, czym zaczynają już zdaleka pachnieć hołdy, na jakie nas stać. Jesteśmy ubodzy, a Warszawa prócz niedzieli mało co umie święcić.

Zresztą trudno mi uchwycić to „nie za mało" i „nie za dużo", gdy mam mówić o wieczornicy sobotniej. Nie w chęci bowiem ganienia, czy krytykowania muszę szukać przyczyny tego prawie bolesnego wrażenia, które z niej wyniosłem. Odczułem dziwną wyblakłość kwiatu, który nie wydał jeszcze wszystkich swych barw i woni, a już go do kożucha chcemy przypinać, widziałem coś, co miało być uroczystością, choć nie było jeszcze chwilą wzruszenia.

Winą tu był i program i publiczność, chłód i zimno — w ludziach i w sali, ale wielką chwilę spowadzić można dla wszystkich i wszędzie, gdy się ją wysoko daje, gdy się umie podnieść ją i zrównać z wysokim sztandarem.

St. G.

PRZEZ PRYZMAT PRAWDY.

Wielka kakofonja europejska, w której wszystkie szanujące swą prawdziwą lub symulowaną potęgę mocarstwa brały udział, fałszując na swych surmach bojowych niemiłosiernie, skończyła się, a przynajmniej nad pierwszym tomem tej kompozycji koncertowej została postawiona kropka. Większość opinji publicznej europejskiej była tego zdania, że wojna wybuchnie, byli jednak i tacy pesymiści, którzy twierdzili, że z tej groźnej chmury nietylko nie rozszaleje burza, ale nawet ani jeden piorun nie uderzy i atmosfera pozostanie nadal ciężka, parna i zgniła. Aczkolwiek prorokować post factum nie jest sztuką, zgodzić się jednak trzeba, że rezultaty tego hałasowania dyplomacji europejskiej były i prawdopodobnie i logicznie umotywowane. Wogóle zbyt długo wrzód się jątrzył, i zbyt długo różni powołani i niepowołani dyplomaci wszelkiego autoramentu plastry nań kładli, wreszcie, obawiając się by nie pęknął, rozpędzili go, a ropa została wessaną w dość i bez tego zgangrenowane tkanki europejskiego ustroju dzisiejszego.

Serbja, która, posiadając swe „enfant terrible" ks. Jerzego, pierwsza zaczęła hałasować, stała się rzecz prosta kozłem ofiarnym swych buńczucznych przyjaciół i nieprzyjaciół, którzy udając, że o nią chodzi, zaczęli sobie wzajemnie via Białogród kijami wygrażać i na siebie paszcze armat wystawiać, nie pytając go, kto zwycięży, lecz kto lepiej nastraszy; naturalnie w ostatniej chwili główni reżyserzy, ukryci za kulisami, cofnęli się, kazali natomiast Serbji podpisać akt, że już więcej wojować nie zechce. Długo drożyła się ze swoim placet, naiwnie sądząc, że takie umowy mają jakąkolwiek wartość realną i że do czegokolwiek zobowiązują. W swej naiwności nie spostrzegła, że akceptowanie przez nią aneksji Bośni i Hercegowiny, jest jednym więcej ogniwem w łamaniu traktatów przez dyplomację europejską i że Serbji, gdy uczuje się na siłach lub gdy zmienność konstelacji mocarstwowych na to pozwoli, zawsze dozwolonym będzie nawet najświętszą umowę zdeptać i nikt nie odważy się tego krytykować, łamanie bowiem traktatów jest przywilejem silnych, tak jak zemsta jest rozkoszą bogów.

Zresztą, gdy Serbja zrobi kiedykolwiek wraz ze swymi wiernymi sprzymierzeńcami austro-pruską jatkę ze skutkiem dla siebie pomyślnym, zawsze znajdą się jakieś Bülowy lub Aerenthale, którzy wykrętną logiką dowiodą jak do na dłoni, że Serbja, przetrącając skrzydła unoszącym się nad nią sępom, traktatu strzegła i wiernie go dochowała. Silni tak twierdzić będą, a słabi będą mieli usta zakneblowane. Wiemy o tym coś niecoś, — pamiętamy treść traktatu Wiedeńskiego

Niech więc Serbja nie droży się z położeniem choćby stu podpisów, niech obiecuje na prawo i lewo czynić co może i czego nie może, boć i jej przyjaciele tak czynili.

Sector.

BADANIA NAUKOWE.

Liberalizm, solidaryzm i socjalizm.

II.

Z trzech kierunków, wymienionych w nagłówku, najstarszym, w znaczeniu skończonego systematu, jest liberalizm.

On to pierwszy z nich zaczął urzeczywistniać się w życiu. Chociaż zasadnicze jego pierwiastki odnaleźć można już w odległej starożytności, niewątpliwie wszekże dopiero we francuskiej deklaracji praw człowieka i obywatela z 1789 r. znalazł on wyraz ściśle określony. Od owego aktu, który Jellinek słusznie nazywa „jednym z najdonioślejszych wypadków rewolucji francuskiej", liberalizm zaczął swe istnienie. Art. 2 Deklaracji zawiera w sobie zasadnicze jego twierdzenie. „Celem każdego związku politycznego jest zachowanie przyrodzonych i niepodlegających przedawnieniu praw człowieka. Prawa te są: wolność, własność, bezpieczeństwo i opór przeciwko uciskowi".

Deklaracja z r. 1793 dodała wprawdzie do tych „świętych" praw—równość; oparta na niej konstytucja wszakże nie była wprowadzona w wykonanie, a ideje jej po wielu latach wznowione, długa jeszcze czeka walka, w której literalizm występuje już jako ich przeciwnik. Wieloletnia reakcja, która nastąpiła po roku 1793, obaliła niejedną zasadę pierwszej Deklaracji francuskiej, ale pomimo to stała się ona na długi czas ewangielją demokracji liberalnej XIX stulecia.

Hasłem jej była wolność, rozgraniczenie praw państwa i obywatela. W imię tego hasła rozpaliła się rewolucja francuska, a kierunek walce o wolność nadały stosunki ówczesne.

Absolutyzm monarchiczny, przywileje stanowe i zależność korporacyjna nie odpowiadały ani potrzebom rozwoju ekonomiczno-społecznego, ani panującym idejom. Rewolucja francuska obaliła je. I chociaż w niejedną wpadała sprzeczność, była jednak uparcie wytrwałą w dążeniu do wyzwolenia człowieka od wszelkiej zależności prawnej.

Naturalną zupełnie drogą, przeciwstawiając się temu, co zwalczała, w imię wolności, gwałciła nieraz wolność, zakazując np. przez słynne prawo Chapelier robotnikom łączyć się w krępujące ich związki, nawet pomimo ich woli. To też w dalszym rozwoju swoim ideje liberalne znacznym uległy zmianom, nie tylko dlatego że zmieniał się zakres pojęcia wolności, ale i dlatego, że zmienione stosunki wymagały od liberalizmu, pod grozą zagłady, przystosowania się do nich. A jakkolwiek dzisiaj liberalizm, nawet w formie zmodernizowanej, nie wielu ma wyznawców, pomimo

znacznych przeobrażeń, którym uległ, nie należy zapominać, że wielką zasługą jego było wysunięcie jednostki na czoło interesów społeczeństwa i państwa, — wskazanie im wolności człowieka, jako głównego ich zadania. Te zasady przejęły od klasycznego liberalizmu i inne kierunki znim współrzędne, i żaden z nich w budowie swojej nie zapomina o tym, że podstawą nowoczesnego społeczeństwa i państwa — musi być wolna jednostka...

Ale liberalizm tym różni się od innych kierunków, że wolność uważa za swą zasadę naczelną, za wyłączną podstawę rozwoju i postępu ludzkości. Życie społeczne wedle mniemań liberalizmu powinno być ścieraniem się zupełnie niezależnych jednostek, nieskrępowanych żadnymi więzami. Nie będę powtarzał tutaj rzeczy powszechnie znanych, w jaki sposób zasada jaknajszerszej wolności obywatelskiej była związana z interesami bogatego mieszczaństwa, głównego czynnika rewolucji, jak po upadku przywilejów stanowych i prawnych, miejsce ich zajęły przywileje, które nadaje własność, jak mieszczaństwo wyzyskało swoją siłę ekonomiczną na niekorzyść warstw pracujących, i jak przez prawodawstwo o ochronie pracy i wielu innymi środkami wolność ograniczać trzeba było. I tutaj okazuje się zasługa liberalizmu nawet dziś jeszcze, kiedy rola jego tak dalece się zmniejszyła. Czuwa on nad tym, aby wielka zdobycz XVIII wieku — wolność obywatelska nie zatraciła się w dążeniu do równości, i przez swą jednostronność broni nas od jednostronności innej, groźnej dla naczelnej jego zasady — wolności. Obrona jej będzie zawsze niepodzielną zasługą liberalizmu, a kierunki inne, o ile liczą się z zasadą wolności, z niego czerpią swe natchnienia. I dopóki nie znajdziemy sposobu pogodzenia sprzeczności, tkwiących zarówno w naszym życiu, jak i w ideach, dopóty liberalizm stać będzie na straży wolności, której cywilizacja nasza wyrzec się już nie może, a której bez niego, poważne groziłoby niebezpieczeństwo. Rzucić podwaliny wolności obywatelskiej i bronić jej, takie było i jest zadanie liberalizmu.

Ażeby bliżej poznać jego istotę, zatrzymywać się musimy na następujących pytaniach:

1) Jaka jest jego podstawa socjologiczna?

2) Jaki jest według niego stosunek jednostki do państwa?

3) Co on myśli o stosunkach gospodarczych?

Co do pierwszego, to oczywiście zasada socjologiczna liberalizmu decyduje i o jego dalszych wnioskach. Pierwotnie opierał się on na danych czysto rozumowych, na filozofji racjonalistycznej XVIII w. Rozwój wszakże nauk przyrodniczych w ciągu ubiegłego stulecia dał mu nowe podstawy, które się stały źródłem bardzo cennych i owocnych spostrzeżeń. Jakkolwiek już twórca właściwej socjologji, August Comte uznał ją za najwyższy stopień rozwoju nauk biologicznych, dopiero Spencer wszakże nadał właściwą wagę biologji, jako podstawie nauk społecznych. Społeczeństwo według niego jest to sui generis organizm, mający wiele wspólnego z organizmem zwierzęcym, podlega zatym tym samym, co i on prawom rozwoju i z jednych i tych samych wypływającego przyczyn. Organizm rozwija się dzięki walce o byt, w której zwycięża wszystko to, co jest silne, zdrowe i przystosowane, a ginie wszystko słabe i wątłe. Walka o byt łącznie z wpływami otoczenia i dziedziczności jest najsilniejszym regulatorem rozwoju społecznego, i prowadzi ludzkość po drogach postępu. Teorja ta w licznych pracach późniejszych rozwinięta została, nieraz w sposób zupełnie fantastyczny i dowolny, doprowadzała do wniosków przeciwnych nawet oczywistości, i chociaż dzisiaj niewielu ma zwolenników, jednakże nie można zaprzeczyć wielkich usług, które oddała ona nauce socjologji i prawd, które dla niej zdobyła. Nawet taki przeciwnik teorji organicznej, jak Loria, przyznaje jej zasługi i prawdziwość jej podstaw. Teorja organiczna według niego stworzyła dwie ważne zasady socjologiczne. „Nie ulega wątpliwości, mówi on, że chociaż życie społeczeństwa jest niezależne od życia indywiduów, które je tworzą, to jednak społeczeństwo z indywiduów tych się składa, a sposób życia i łączenia się w grupy tych istot organicznych podlegać musi ściśle biologicznym warunkom i prawom rządzącym organizmem wogóle. To też znajomość praw tych jest nieodłącznym warunkiem poznania praw, kierujących rozwojem społeczeństwa i z tego punktu widzenia trzeba się koniecznie zgodzić na to, że biologja jest zasadniczą podstawą socjologji... Nadto owa analogja między społeczeństwem i organizmem, wpaja jednak przekonanie, że społeczeństwo nie jest sztucznym tworem człowieka, maszyną, którą on sam złożył i wedle upodobania zmienić lub rozłożyć może, lecz wytworem naturalnym, podlegającym ściśle prawom rozwoju i postępu, wytworem, którego człowiek zniszczyć lub istotnie zmienić nie zdoła".

Oto są cenne i trwałe dotychczas zdobycze biologicznej teorji socjologji, które naukę społeczną bronią przed fantastycznymi marzeniami i utopjami, o które dawniej często się ona potykała. Z teorji tej logicznie płyną wnioski co do wszystkich stron życia społecznego i państwowego.

Jeżeli społeczeństwo jest tworem naturalnym, jeżeli prawa jego rozwoju niezależne od człowieka, służyć mogą wyłącznie, jak wogóle prawa naturalne, do jego zachowania i wzrostu, to prawom tym sprzeciwiać się nie należy. Do tych, którzy je gwałcić pragną na szkodę społeczeństwa mówi Spencer: „Dziś kiedy o dobroczynnym wpływie utrwalania się gatunków najzdolniejszych są oni przekonani tak dalece, że należałoby oczekiwać z ich strony pewnego namysłu w sprawach zobojętnienia tego wpływu, dziś właśnie więcej, niż w jakimkolwiek okresie dziejów, ludzie ci dokładają wszelkich usiłowań, aby utrwalić byt osobników najmniej uzdolnionych. Pewnik, że ludzie są istotami obdarzonymi rozumem doprowadza nas nieustannie do wniosków, będących dalekimi od rzeczywistości: Cały system z tego ustępu łatwo wyprowadzić.

Człowiek wolny od wszelkiego przymusu i wszelkiej opieki, silny czy słaby, sam, o własnych siłach wchodzi do społeczeństwa, które jest terenem walki i zdobyczy dla niego. Jeżeli potrafi — to zwycięży, jeśli nie — niech ginie. Tego wymaga interes społeczny.

A więc żadnej opieki, żadnego poparcia czy wtrącania się państwa w ścieranie się bezwzględnie wolnych jednostek społecznych, żadnej interwencji. Taka była zasadnicza ideja państwowa liberalizmu.

Jakkolwiek już dość dawno zwalczać zaczęto owo słynne *laisser faire, laisser passer* Gonrnay'a, jednakże i dziś jeszcze liberalizm państwowy w pierwotnej formie ma swych obrońców. Emil Faguet gorąco broni godności i wolności jednostki przeciwko państwu, którego granice zakreśla policja, sprawiedliwość, siła wojskowa i nic więcej. W ten sposób chce on sprowadzić państwo, wedle wyrażenia Lassalle'a, do stanowiska stróża nocnego. Pogląd ten oczywiście zupełnie sprzeczny z wymaganiami stosunków spółczesnych, zwalczany jest nawet przez liberałów. „Bezczynność zupełna państwa, mówi Leroy-Beaulieu, *z samej natury rzeczy* jest wyłączona!" Chociaż więc spółczesny liberalizm nie jest już tak zazdrosny o prawa jednostki, jak dawniej, jednakże ściśle waży on, gdzie kończyć się powinna interwencja państwa i niemałą jego zasługą jest ta straż nad wolnością jednostki, która z tej strony na silne niebezpieczeństwa narażoną być może. Ideje liberalne dziś bezpośredniego wpływu może nie wywierają, ale stanowią doskonałą kontrolę dla kierunków innych, któreby mogły w swej jednostronności zatracić najpiękniejsze zdobycze rewolucji francuskiej.

Kwestja interwencji państwa i granic jego władzy w ścisłym jest związku z organizacją gospodarczą. Najwyższy wykwit liberalizmu, t. zw. menchesteryzm, już dziś niewielu znajduje zwolenników, jak wogóle liberalizm w swej czystej formie. Ale i tutaj, nowy jego kierunek, chociaż robi ustępstwa wymaganiam czasu, zawsze wnosi do stosunków gospodarczych pamięć o wolności ludzkiej, jako zasadniczej swojej podstawie, za cel sobie stawiając, według wyrażenia Fr. Naumanna, organizację pracy wolnych mężczyzn i kobiet.

Konsekwentnie liberalizm bronić musi własności: Niewielu już jest takich, co, jak Molinari, nie dopuszczają żadnych jej ograniczeń, nawet wywłaszczenia na cele publiczne za wynagrodzeniem. Liberalizm pogodzić się musiał z mnóstwem ograniczeń i prawa własności, i prawa zawierania umów, ale zawsze własność indywidualna stanowi podstawę jego pojęć gospodarczych.

Jak wielokrotnie wspominaliśmy liberalizm jest dziś kierunkiem mało popularnym i bezwątpienia wywymaganiom szerokich warstw społecznych nie odpowiada. Krytyka też jego, nawet z bardzo daleka idącymi ustępstwami, które gotów jest uczynić na rzecz nowych czasów (por. Fr. Naumanna. Die neudeutsche Wirtschaftspolitik) nie przedstawia wiele trudności. Ale pamiętać należy bez względu na nasze zapatrywania, że liberalizm był i jest stróżem wolności i że inne kierunki nowożytne z zasadami jego liczyć się muszą i coraz więcej się liczą.

Ogromnie wpływowa dziś filozofja Nietschego i budzący się do życia anarchizm nie są niczym innym jak najdalszymi konsekwencjami liberalizmu, będącymi jakby żywą opozycją przeciwko kierunkom, które, przez czas pewien, zapominały o nieprzedawnionym prawie jednostki — do wolności.

Liberalizm im to przypominał i w tym tkwi jego zasługa i jego znaczenie.

Jak nierozerwalnie wiąże się on z solidaryzmem i socjalizmem — zobaczymy dalej.

Józef Lange.

LITERATURA i SZTUKA.

Wacław Grubiński: **Bunt.** Warszawa, 1909 r.

Krwią i łzami nie pisze swych utworów p. Grubiński; nie pisze ich ani cierpieniem, ani tęsknotą, ani smutkiem lub radością nawet. Poprostu chwytając zewnętrzne objawy życia — uderzające głupstwa i śmiesznostki komedji ludzkiej — pisze swoją spostrzegawczością, która jest zasadniczym pierwiastkiem jego talentu! Lecz w męce tragicznych zwątpień zrodzonych ideałów niema! Nie wiemy co autor kocha, a co nienawidzi, co uważa za największe wartości człowieka — czym pogardza i do czego tęskni. I czy tęskni wogóle, bo przecież chwilami mamy prawo mniemać, że tęsknić — nie jest w możności. Czy wobec tego nie należy żałować, że talent tak nieprzeciętny, rozporządzający tak pyszną obserwacją—jest właściwie poza życiem, będąc poza cierpieniami duszy ludzkiej i poza tęsknotą dostojeństwa duchowego.

Grubiński nie jest ani wrogiem, ani przyjacielem życia. Otchłań nikczemności drzemiąca w człowieku nie wytrąca go z przyjemnej równowagi. Nie chcę przypuszczać, że tej otchłani nie widzi, wolę przypuszczać coś bardzo prawdopodobnego: nie lubi na nią spoglądać! Poco rozgrzebywać cuchnące bagienko życia jak to czynił Balzac? Cóż bowiem można znaleźć pod powierzchnią zieloną bagna? Błoto cuchnące, zgniłe liście, a kto wie, może ślady zbrodni ukrytel? To wszystko jest bardzo nieprzyjemne! A Grubiński nie lubi rzeczy nieprzyjemnych i wcale się sobie nie dziwi!... Jest kiełkującym sybarytą — a jego protesty nie są protestami duszy, lecz protestami rozumu! Nie odczuwa nieszczęść ludzkich, lecz je widzi — ma talent, więc je nam pokazuje, opisując te wypadki i sytuacje stylem pięknym, mocnym, strojnym w humor wykwintny!...

Tytułową stronę tomu zawdzięczamy buntowi p. Józefa, któremu nagle przyszło do głowy, że można nie poddawać się życiu — i być mocnym.

Nie możemy mu uwierzyć — nawet gdy się podpala. Biedny człowiek umarł napróżno — tak jak na próżno panna Stefa chce przekonać swoją starą, poczciwą matkę, że oddać się mężczyźnie na 10 minut przed podwieczorkiem to jest zabawa — taka sama, jak każda inna — tylko może trochę przyjemniejsza... („Zabawa")... Obie te nowelki są dysharmonją uczuć autora — każda z osób działających mówi chwilami zupełnie dobrze, zupełnie słusznie — ale to wszystko razem niema harmonji! Nie może przekonać — i nie przekonywa. Zato „Schadzka", „Niedokończony poemat" i „Pierwiosnek" świadczą, że talent Grubińskiego potrafi wysoko wznieść się ponad przeciętną poprawność. Wyróżnia się zwłaszcza „Schadzka", w której autor opisuje dzieje romansu pewnego ucznia klasy czwartej! W trzech tych utworach Grubiński dowiódł, że umie patrzeć bystro i pewnie! Tak więc w ogólnej definicji „Buntu" zaznaczyć należy pierwszorzędny talent obserwacyjny, styl piękny, wykwintny dowcip i... pewne granice, poza którymi są dla Grubińskiego światy nieznane i, co gorzej, obojętne!...

St. Kiedrzyński.

Michał Marjan Winiarski: **„Kaprys księżnej".** Warszawa, Jan Fiszer, 1909.

Oto książka, będąca szczerym dokumentem niemocy twórczej i ubóstwa. Autor na pierwszych odrazu kartach swego dzieła przyznaje się, że nic nie ma do powiedzenia, karty zaś następne uzupełniają i potęgują to wyznanie. Próba zastosowania względem „Kaprysu" p. Winiarskiego skali jakichkolwiek wymagań artystycznych byłaby uroszczeniem bezzasadnym. Niema w nowelkach p. W. miejsc słabszych lub mocniejszych: wszystkie stoją na poziomie jednostajnym zdecydowanej miernoty, zakrzepłej bezsilnie poniżej zera przeciętności. Nie krytyka literacka, ale jakiś właściwy dział towaroznawstwa, oparty na probierzach od sztuki niezależnych, miałby prawo o przydatności tego rodzaju produktów orzekać.

Wincenty Rzymowski.

Regina Lilientalowa — **Święta żydowskie w przeszłości i teraźniejszości.** Z 20 tablicami. Kraków 1908. Nakładem Akademji Umiejętności.

Kiedy pewnego razu w Paryżu zaprowadziłem kulturalnego Francuza na jedną z uliczek zamieszkiwanych prawie wyłącznie przez żydów (w dzielnicy Bastille) i wyjaśniałem mu sens obchodzonego tam właśnie święta *Pesach* (święto przaśników), rzekł on z powagą: „Maintenant je comprends, c'est la folie" (Teraz rozumiem: to jest obłąd).

Na tle życia dwudziestego wieku, jacyś ludzie, nie! — widma obchodzą dziwną uroczystość, do której szykują się cały miesiąc, wydając częstokroć ostatni grosz na ucztę paschalną, — w białych szatach, przepasani złototkanym pasem, w białej krymce; a „naj-

uboższy w Izraelu winien wtedy wygodnie opierać się na zaimprowizowanym łożu, gdyż tego wieczoru miano króla nosi". Radują się, że wyszli z Egiptu, czytają epopeję ciężkich cierpień pod Faraonami i cieszą się, jak gdyby przez to, że lat temu tysiące opuścili Egipt, byli już zupełnie wolni i szczęśliwi.

Pośród wszystkich zjawisk religijnych, święta żydowskie stanowią może najjaskrawszy przyczynek do zbadania zaniku władz umysłowych opanowanych przez siłę przesądnych wierzeń: mglista symbolistyka, a częstokroć zupełne skonkretyzowanie symbolów (np. otwieranie drzwi kiedy ma wejść Eljasz i t. p.), dużo praktyk odbywanych bez jasnej świadomości ich znaczenia, uczucia radości i smutku tak silne, jakgdyby ci nieszczęśliwi prawowiercy istotnie coś wielkiego zyskiwali lub tracili w chwili danego obrzędu lub modlitwy, stan całkowitego zapomnienia o wszelkich realnych potrzebach życia — oto niektóre cechy owego zaniku zdrowej myśli ludzkiej.

Książka p. Lilientalowej jest gruntowną, na wielkiej ilości materjałów opartą pracą o świętach żydowskich w przeszłości i teraźniejszości. Pożytek z uważnego przeczytania tej książki osiąga się duży: lepszą orjentację w umysłowości i obyczajowo-religijnym życiu mas żydowskich. Sądzę, mimo braku wskazówek w tej mierze, że książka p. L. stanowi pierwszą część większej pracy, gdyż obejmuje tylko jedną kategorję świąt t. zw. „pielgrzymich" (Pesach, Szabuot i Sukoth); pozostają jeszcze dwie inne kategorje: święta par excellence religijne (Rosz Haszana i Jom Kippur) i święta historyczne (Chanuka i Purim). Jeżeli dalsze dwie części opracowane będą z taką samą sumiennością, całość posiadać będzie wartość niepoślednią.

Józef Wasercug.

TEATR ROZMAITOŚCI: **„Kolega Crampton"**, komedja w 5-ciu aktach przez G. Hauptmana (przekład Wł. Ordyńskiego). Reżyserował K. Kamiński.

Kolega Crampton" należy do szeregu utworów, którymi naturalizm zdobywał sobie Niemcy. Była to chwila, gdy doktryna naturalistyczna była przedmiotem walki, a każda premjera bojem zaciętym. Teorja głoszona przez wyznawców nowej szkoły estetycznej i podsuwana im przez obóz przeciwny, dzieliła walczące strony bardziej niż ich twórczość, popychała je do krańcowości, która z prawdziwą sztuką pogodzić się nie daje i wobec niej ustępować zaczęła zwolna. Pozostało i pozostanie to, co było tchnieniem twórczego ducha, nosiło na sobie jego piętno, powstawało w artyście siłą jego talentu, a nie przez chęć poparcia sobą jakiejś teoryjki.

„Kolega Crampton" prócz tego powstał w najwcześniejszej dobie twórczości Hauptmana, gdy talent jego szedł jeszcze po linji górnej, a każdy utwór znaczył krok naprzód czy wzwyż. Powstał on w roku 1892-im, to jest jednocześnie z „Tkaczami", ale nie posiada tego szerokiego, społecznego tła, które Hauptman lubi podsuwać pod swe sztuki, nie zgrzyta buntem, czy najsłabszym chociażby protestem przeciwko czemukolwiek; jest kawałkiem życia, daje obraz duszy ludzkiej zmarnowanej i złamanej przez warunki, ale autor nie oburza się, nie formułuje aktów oskarżenia, nie wskazuje na czyjeś krzywdy, czy winy, spokojnie i objektywnie rzeźbi swe postacie z jedynym celem uchwycenia możliwie najpełniejszej prawdy psychologicznej.

Z haseł naturalistycznych pozostała tu jedynie nienawiść do wszelkich szkół, do szulmajstrów i szulmajsterstwa, lekceważenie ich, która raz wraz dźwięczy w sztuce i w sprawach Cramptona i może jeszcze drobiazgowość w podkreślaniu i spożytkowywaniu szczegółów, ale nie czuć nigdzie ani mechanicznej pracy aparatu fotograficznego, ani tej oschłej nuty protokułu, które płytka teorja starała się podsunąć jako ideał realizmu, a nieuctwo dotąd go jeszcze z nimi utożsamia.

Crampton najściślej jest związany z tą całą galerją typów, które Hauptman najchętniej zwykle przedstawia. Są oni zbyt słabi, by podjąć walkę z rozkładowym działaniem warunków obecnych, dość jednak wybitni, by wejść z nimi w konflikt. Takim jest Vockerat, takim mistrz Henryk z „Zatopionego Dzwonu". Cechę tę posiada również Crampton. Nie szczędzi on drwin szkole malarskiej, w której jest profesorem, widzi że najlepsi uczniowie są z niej usuwani, jako szkodliwi, męczy go życie rodzinne, którym nie umie kierować, ale jedynym protestem i jedyną ucieczką jest dlań alkohol. Zapomnieć się może, uciec gdzieś w góry ze złotowłosą Rautendelein, albo skończyć ze sobą jak Vockerat — oto wszystko, do czego są zdolni bohaterowie Hauptmana. Crampton potrafi jeszcze wyrzec się swej godności i jedynej miłości, która mu pozostała na świecie, porzuci swą ukochaną córkę, spokojnie staczać się będzie w dół, a choć go ręka Ströhera zakochanego w córce profesora, znów na powierzchnie życia wyciągnie, trudno uwierzyć, by ta ruina zdobyć się jeszcze mogła choćby na próbę odrodzenia się w pracy twórczej.

Psychologiczny portret Cramptona jest osią całej komedji, od uchwycenia więc tej postaci zależy los sztuki. Ale na scenie teatru Rozmaitości rola ta znalazła niezrównanego odtwórcę. Pan Frenkiel zrobił z niej arcydzieło odczucia i prawdy. Umiał on tak zespolić dwa zasadnicze pierwiastki duszy zmarnowanego artysty, tak po mistrzowsku pogodził w niej niedołęstwo kaleki z naiwnością dziecka, ruinę moralną i fizyczną alkoholika ze szlachetnością szczerego artysty, którą jednakże posiadać musi Crampton, że stworzony przez niego typ na długo pozostać musi w pamięci każdego. Z reszty wykonawców wyróżniali się pp. Brydziński i Bednarczyk, którzy inteligentnie interpretowali swe role.

Stefan Gacki.

W kwestji konkursu na pomnik Chopina.

Gorączkowa praca kipi w pracowniach rzeźbiarzy naszych, nadchodzi bowiem termin odesłania konkursu na pomnik Chopina, który ma upiększyć szare, nieposiadające artystycznej fizjognomji miasto nasze, uwiecznić (?) oblicze nieśmiertelnego mistrza tonów, napełnić kieszeń jednego szczęśliwego wybrańca a napędzić większej biedy wszystkim pozostałym i tak niemającym żyć z czego, rzeźbiarzom naszym.

Prace, które się kończą obecnie, mają być dostawione za miesiąc do gmachu Tow. Zachęty Sztuk Pięknych. Co do ilości będą one dosyć liczne, co do jakości kiepskie naogół, w znacznej części szablonowe, a te co na oryginalność zakrawać będą, dziwactwem się raczej odznaczą.

Konkurs okaże się chybionym i inaczej być nie może, a to z dwuch kardynalnych przyczyn: z braku utalentowanych rzeźbiarzy i z powodu fatalnych warunków samego konkursu.

Rzeźba nasza stoi na bardzo nizkim poziomie, a tak zwana „pomnikowa", która „monumentalną" wcale nie jest, stoi niżej wszelkiej krytyki, nie możemy się więc od naszych artystów, tę gałąź sztuki uprawiających, pomysłów gienjalnych spodziewać; będą to więc produkcje raczej szablonowe o formach dawno przeżutych i przetrawionych, a więc bezwartościo-

wych. Gdyby jednak okazać się miały jakie przebłyski oryginalnego pojęcia, to je niweczą warunki konkursowe.

Paragraf czwarty warunków na pomnik Chopina w Warszawie zaznacza, że ogólny koszt budowy pomnika,razem z wynagrodzeniem artysty, może dosięgnąć sumy 60,000 rubli (!), nie wliczając w to kosztu fundamentów i wszelkich innych tego rodzaju, a więc pomnik ten musi być machiną potężną w rodzaju obydwu fatalnych pomników Mickiewicza i z konieczności liczbę ich pomnożyć. Ma on być, jak paragraf piąty opiewa, postawiony na placu Wareckim, ma obejmować przestrzeń około 20×20 metrów kwadratowych, ma być widziany przez całą ulicę Mazowiecką, Szpitalną, oraz z ulic: Moniuszki, Nowosiennej, Wareckiej i Świętokrzyskiej. Zastosowany do tego miejsca musi on być monstrualnie wielki, a mając za otoczenie wysokie domy i długie ulice oraz plac również duży,musi być rozwinięty w swych drugorzędnych szczegółach, różnych niepotrzebnych figurach, ze szkodą dla samej postaci Chopina, która stać się łatwo może dodatkową tylko częścią w całości pomnika. Jak można wyobrazić sobie tego tak subtelnego, tak delikatnego mistrza tonów w rozmiarach przesadnie kolosalnych, a więc zazwyczaj brutalnych?

Jak można było wybrać to miejsce, jedno z najbrzydszych i najruchliwszych w Warszawie, na wystawienie pomnika Chopinowi? Czyż te okropnie brzydkie i wielkie domy są dlań odpowiednim otoczeniem? Czyż przyszły gmach poczty, pomyślany jako zwykłe koszary, będzie dlań dekoracją? A może już stojący na skwerze placu tego szalet publiczny będzie estetycznym dopełnieniem tego pomnika? Jak można było pragnąć, aby pomnik poświęcony temu nadzwyczajnemu arystokracie formy w sztuce miał stanąć w miejscu tak pospolicie i trywialnie ruchliwym jak plac pocztowy?

Jeżeli pomnik dla Chopina miał być koniecznie wystawiony w Warszawie, to jedynym miejscem dla niego w warunkach obecnych jest Ogród Saski. Tam z boku jakiejś alei, w umyślnie urządzonym klombie drzew, krzaków i kwiecia mógłby być umieszczonym niewielki pomnik, w którym figura mistrza tonów posiadałaby znaczenie dominujące, przy dyskretnie obmyślanych dopełniających szczegółach. Tylko w takim otoczeniu, zdala od wstrętnych hałasów ulicznych pomnik Chopina mógłby odpowiadać subtelnenu charakterowi jego twórczości. A koszt takiego pomnika nie powinien przewyższać 15,000 rubli. Ale toby nie imponowało nam, posiadającym popędy dorobkiewiczów, chcących błyszczeć chociażby blichtrem tylko.

To już dość ażeby naprzód wiedzieć, iż rezultat konkursu okaże się zupełnie niezadawalniającym.

Dalsze paragrafy owego konkursu zakrawają na humoreskę z domieszką krwawej ironji. Artykuł dziewiąty powiada, że autor nagrodzonej pracy ma wykonać model z gipsu wielkości naturalnej pomnika i zarazem ma mieć nadzór artystyczny nad jego wykonaniem w naturze, a za to otrzyma 18,000 rubli. Przeszło czterdzieści tysięcy rubli przeznaczono więc na odlewy z bronzu, kucie w kamieniu, gdy to wszystko może dużo mniej lub dużo więcej kosztować, zależnie od kompozycji pomnika, której przecież układający warunki konkursowe wcale nie znali, a z którą zaznajomią się dopiero po otwarciu konkursu i osądzeniu tegoż.

Paragraf 23 zaś zapowiada, że wszystkie projekty nienagrodzone i nieodebrane w przeciągu miesiąca od daty ogłoszenia wyroku sądu konkursowego, stają się własnością komitetu a tymsamym autorowie zrzekają się wszelkich praw do nich i wszelkich pretensji do komitetu. Jest to najzwyczajniejszy rozbój na otwartej drodze, na który niewiadomo z racji jakiego prawa komitet sobie pozwala. Dodawszy do tego, iż koszt przesyłki i odesłania modelów oraz cło od nich ponoszą autorowie, widzimy wyzysk najzupełniejszy nietylko pracy naszych artystów ale i ich kieszeni.

Komitet, ogłaszając powyższe warunki konkursowe, zaznaczył tym iż niema pieniędzy na opłacenie koniecznych nawet wydatków zwykle z konkursami związanych, a pomimo to pozwolił sobie jednak na wydatek wielki, niczym nieuzasadniony, a nas ośmieszający.

Mianowicie, komitet powołał na sędziów trzech artystów cudzoziemskich kosztem 15,000 franków, czyli około 8,000 rubli!

Powołanie cudzoziemców na sędziów miałoby wtedy rację, jeżeliby konkurs miał charakter międzynarodowy, (co właściwie być by powinno, zważywszy na wszechświatowe znaczenie gienjuszu Chopina i na brak utalentowanych rzeźbiarzy u nas), w konkursie zaś o charakterze krajowym sędziowie ci są zupełnie zbyteczni i wcale nie odpowiedni. Grono artystów malarzy, architektów i światłych amatorów wydałoby sąd racjonalniejszy, aniżeli to uczynić mogą cudzoziemcy, nie odczuwający tak jak my naszej twórczości, a przed którymi roztoczymy obraz, naszej bezsilności.

Wszelkie konkursy na niewiele się przydają, gdyż rzadko z nich wyłoni się oryginalny talent. Jeżeli się to zaś czasami zdarzy, to oryginalność talentu staje się zawsze przeszkodą do otrzymania nagrody i zamówienia na wykonanie dzieła, gdyż talent oryginalny razi nowością czy śmiałością pojęcia. Mierne zaś prace natomiast bywają odznaczane, bo one odpowiadają lepiej przeciętnym i miernym poglądom naszym na sztukę. Konkurs na pomnik Chopina nie przyniesie nam dzieł tchnących oryginalnością, świeżością i siłą pomysłów, bo dla wykonania dzieł takich nie posiadamy odpowiednich artystów; lecz przyniesie nam trochę chorobliwego dziwactwa i dużo miernoty szablonowej.

Za wielką sumę zdobędziemy małej wartości dzieło sztuki, które bynajmniej nie upiększy brzydkiej dzielnicy miasta naszego.

Żądać jednak należy, ażeby na przyszłość, gdy przyjdzie nam fantazja wyrzucać grosze publiczne na stawianie pomników, zawiązany w celu takim komitet działał jawnie i publicznie, aby sprawa podobna ze wszech stron oświetloną i omówioną została i, ażeby warunki konkursu mogły być racjonalnie ułożone, bez krzywdy dla artystów udział w konkursie biorących, a jasno wyrażające to,czego się od żądanego dzieła wymaga.

Wincenty Trojanowski.

KRONIKA.

— Według wiadomości pism petersburskich Rada Państwa odrzuciła wniosek posłów prawicy, mający na celu zmienić ordynację wyborczą w ten sposób, aby uniemożliwić wpływ Polaków w Radzie Państwa i w Dumie.

— Dotychczasowy minister spraw zewnętrznych Izwolskj podał się do dymisji, która została przyjętą. Na miejsce jego jest proponowany gienerał hr. Jengołyczew obecnie rosyjski attaché wojskowy w Berlinie lub też Czarykow były poseł rosyjski przy Watykanie.

— Petersburski urząd do spraw związków i stowarzyszeń na wniesioną przez: posła do Rady Państwa prof. M. Kowalewskiego, posła do Dumy I. Jefremowa i rz. r. stanu Filosofowa prośbę o zalegalizowanie stowarzyszenia pod nazwą „Petersburski klub postępowy" — odpowiedział odmownie. Tenże urząd odrzucił wniesioną przez posłów do Dumy W. Nabukowa i W. Kuzmin - Karawajewa prośbę o zalegalizowanie „Ligi walki przeciwko karze śmierci".

— Wznowiony w dniu 1 kwietnia r. b. we Lwowie proces Siczyńskiego na żądanie obrony z powodu uchybień formalnych został odroczony do 15 kwietnia.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 5 — 7 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Roman Nowakowski.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.